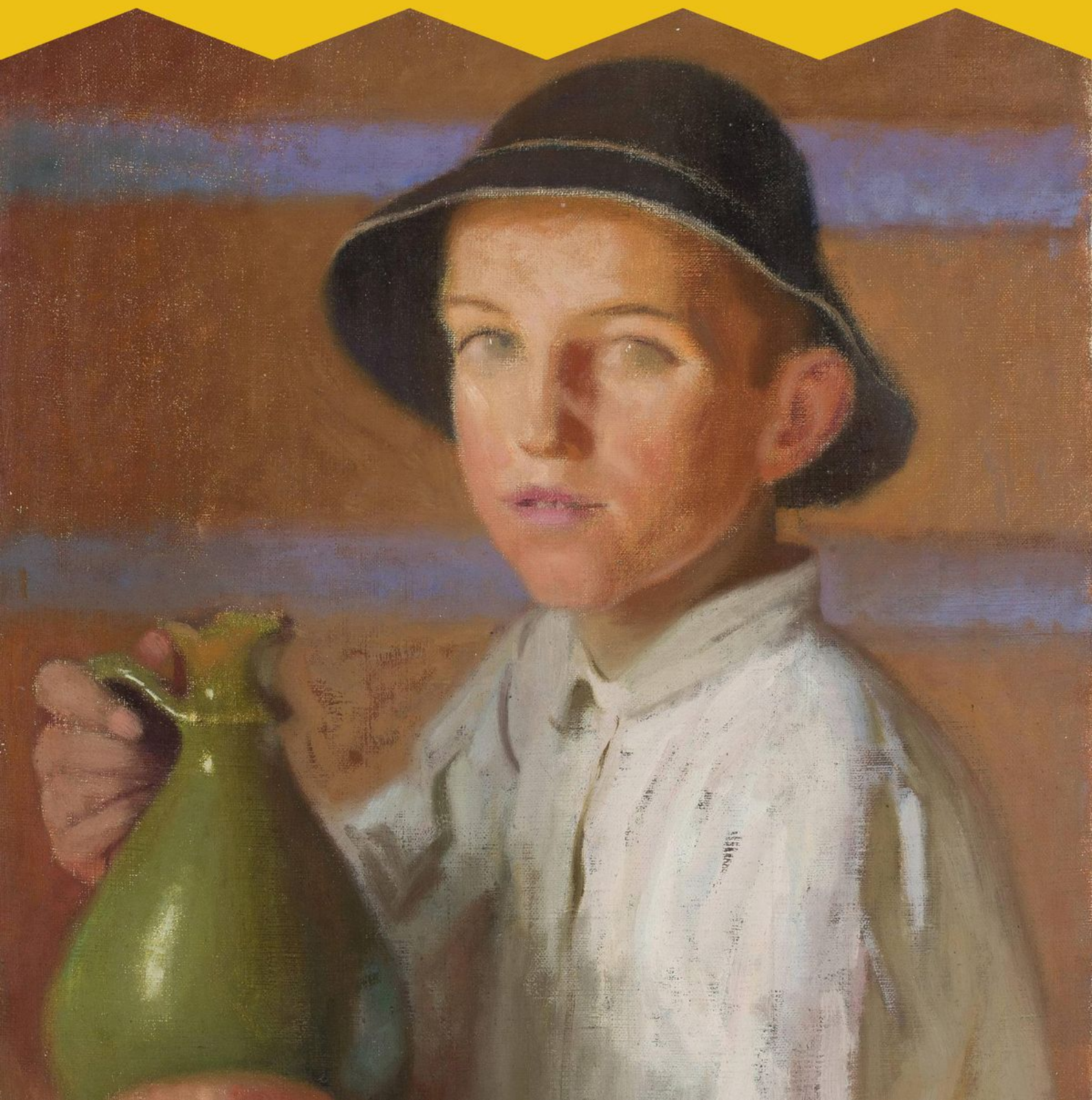


Zakłęte pieniądze



MICHAŁ BAŁUCKI

Zakłete pieniądze

OPOWIADANIE Z ŻYCIA LUDU GÓRSKIEGO

I. DROGA DO ZAKOPANEGO

Było to przy końcu lipca; upały i kurz czyniły pobyt w mieście nieznośnym; kto mógł, wyjeżdżał na wieś lub do wód. I mnie przyszała ochota odetchnąć trochę po pracy świeżym powietrzem, a mianowicie miałem zamiar udać się w Tatry. Jak na szczęście zdarzyło się, że przechodząc jednego dnia koło Zamku, zobaczyłem górala i góralkę gapiących się na dzwon Zygmunowski, i skoro ich spytałem, czyby nie wiedzieli o jakiej okazji do Zakopanego, góral ucieszony wnet odpowiedział:

— A dyc my was powieziewa panoczku, bo my z samego Zakopanego. Przywieźliżwa tu właśnie od nas jednego grubego¹ pana. Wózek mamy jak się patrzy i koniki wartkie, to skoro popędzimy.

— A kiedyż moglibyśmy ruszyć w drogę?

— Choćby zaraz, bo konięta od wczoraj już wypoczęły i owsikiem nadziały się godnie.

Na rękę mi była ta gotowość górala i on sam spodobał mi się bardzo, bo był zwinny, rezolutny i wesoly. Ułożyłem się o zapłatę, i tego samego dnia zaraz po obiedzie ruszyliśmy w drogę we troje, to jest: ja, góral i żona jego Tereska, którą zabrał ze sobą do miasta, by mogła odwiedzić swego chorego brata w lazarecie i nadziwować się kościołom krakowskim. Była to kobiecina młoda, nieduża, zwinna i zgrabna jak kotek, z twarzą rumianą, płowemi włosami i śmiejącymi się, niebieskimi oczkami. Jak się później przekonałem, był to wcale rzadki okaz górskiej piękności, gdyż wogóle góralki nie odznaczają się zbyt dużą pięknnością. Ubrana była świątecznie w żółte buty i rańtuch, bo do wielkiego miasta wystroić się wypadało. Ale skoro tylko minęliśmy rogatki, wnet pozbyła się tój parady. Złote buty, rańtuch, czysta zapaska i książka do nabożeństwa poszły do kosza, i została w zwykłym stroju, składającym się z niebieskiej spódnicy i takiegoż fartucha, zarzuconego na ramiona w kształcie płaszczyka. Żółta chusteczka w kwiaty, zawiązana pod brodę, zakrywała głowę i twarz od słońca. Mąż także dla wygody zrzucił z ramion twardą guńkę, poprawił na głowie kapelusz z małym okapem, ubrany sznurkiem muszli — gwizdnął na koniki, a te, lubo nieduże, poniosły nas szybko po białym gościńcu, który jak długi pas płótna ciągnie się od Krakowa w górę coraz wyżej przez zielone pola i lasy ku mogiłańskiemu kościołowi. Z pod kościoła raz jeszcze zobaczyłem Kraków, widoczny ztąd w całej okazałości, rozsypany nad błękitną Wisłą. Tymczasem koniki napiły się wody, Jędrak palnął kieliszek wódki, Tereska zmówiła paciorek przed kościołem, i puściliśmy się dalej, a przed zachodem słońca stanęliśmy w Myślenicach na rynku, zapełnionym furami, które z gątami, deskami i drewnianem naczyniem szły na targ do Krakowa. Posiliwszy trochę siebie i konie, pojechaliśmy dalej — już o zmroku. Za Myślenicami gościniec ciągnie się wzdłuż rzeki Raby, za którą wznoszą się lesiste wzgórza, urozmaicone szachownicą zbożowych łąnów. Raba płynie wązkim korytem, ale szerokiej jej łożysko zasypane drobnymi kamieniami, świadczy o niespokojnym jej biegu i wylewach. To też ciemne, góralskie chaty uciekły od sąsiedztwa niespokojnej rzeki i tułą się jak gniazda jaskółcze do boków gór i chronią się przed wylewami tamami z chrustu i kamieni. Kiedyśmy przejeżdżali przez tę okolice, księżyc wychylił właśnie na krawędzie lasu pyzatą twarz swoją i oświecił nam drogę i rzekę. Tuż koło drogi na pagórku stał kościółek

¹gruby (pot.) — bogaty. [przypis autorski]

otoczony drzewami. Było to w Pcimiu. Jędrrek uchylił kapelusza, a Tereska przeżegnała się nabożnie i z trwogą obejrzała się za siebie.

— A ty czego się boisz? — spytałem.

— Ano coś się rusza koło kościoła.

— To cień od drzewa.

Wstrząsnęła głową z niedowierzaniem.

— To był duch, panoczku — rzekła — idzie pewnie na pokutę do kościoła, bo wnet kury na północek zapieją.

Tłumaczyłem jej jak mogłem, że duchy są niewidzialne; ale jej wcale tem nie przekonałem. A Jędrrek stając w obronie swjej połowicy, odezwał się poważnie:

— Nie mówcie tego panoczku, bo duchy muszą pokutować za grzechy i chodzą po świecie. Stary tatuś mój widywał nieraz takie pokutujące duszyczki. On wam o nich powie różności. Bo trzeba wam wiedzieć, że drzewiej², kiedy mało gdzie była uprawna ziemia a tylko góry i lasy, to po lasach kryło się dużo zbójników, co napadali ludzi i obdzierali kościoły i dwory. To też po śmierci ciężko musieli pokutować za to, i nieraz widywano ich dusze jęczące koło zakopanych pieniędzy.

— Więc i w zakopane pieniądze wierzycie?

— Ba, a gdzieżby się podziały? Ta to oni ich ze sobą do trumny nie wzięli. Pieniądze są, jeno zakłete, a tatuś mówi, że byle wiedzieć sposób dobrać się do nich, to je możnaby mieć i być bogatym. Ot tam za temi lasami, gdzie widać czubek góry, tam także były grube pieniądze, bo w tych lasach chodził dawniej zbójnik Janosik. Musieliście o nim słyszeć?

Ciekawy byłem powieści, co tradycją szły z ust do ust o zbójnikach i ich skarbach, i prosiłem Jędrka, by mi coś o nich napomknął.

— Ano był zbójnik Janosik — zaczął Jędrrek — i miał koło siebie dwunastu takich, co nimi dowodził. Mieli się dobrze, wielkie skarby znosili do lasu i chowali w spruchniałym dębie. Jednego razu zachciało im dobrać do skrzyni starosty. A że dwór starosty był obronny i napad niebezpieczny, więc nim ruszyli, przysięgli sobie, że gdyby się rozproszyć musieli lub dostali się do kryminału, to za rok i sześć niedziel, kto żyw z nich zostanie, zejdą się koło dębu i podzielą skarbem. Poszli nocą. Ale starostę ktoś uprzedził, więc ich przyjął przygotowany. Otoczono ich wojskiem, wyłapano i okuto. Janosik jednak uciekł do Niedzicy³, a zamtąd dalej na Węgry, przebrany za dziada. Tam rozchorował się i umarł. Przed śmiercią wygadał się o skarbie przed jednym cieślą, co go pilnował w chorobie, i wytłumaczył mu, jak i gdzie ma szukać spruchniałego dęba.

— No i znalazł go ów cieśla?

— A kto go wie? Jedni mówią, że znalazł, ale nie głupi był przyznać się do tego. Inni mówią, że zapomniał rachować kroki po lesie, jak go to Janosik nauczył, i pobłądził — i że skarb do dzisiaj gdzieś leży. Może się znajdzie taki szczęśliwy, co go odszuka.

Na tem skończył Jędrrek opowiadanie, zaciął koniki i popędził je żwawiej, a ja sobie tymczasem rozmyślałem nad tem, dlaczego właśnie najczęściej takich cudacznych powiastek o skarbach ukrytych, zaklętych pieniądzech przechowuje się między biednym ludem? Bogacze nie komponują sobie takich powiastek; oni robią pieniądze i mają je. Lud ich nie ma, żyje w ubóstwie i dlatego nędzę swoją umila sobie przynajmniej nadzieją urojonych bogactw. Im lud biedniejszy, tem więcej takich powiastek sobie opowiada. U górskiego ludu jest ich mnóstwo. — Wszędzie napotkać można u nich podania o palących się pieniądzach, o ukrytych po skałach i lasach bogactwach, a nawet ludzie więcej oświeceni marzą uparcie o bogatych kopalniach złota, kryjących się w łonie gór, i o sposobach dobrania się do nich. Ojciec Jędrka, jak się później przekonałem, należał do takich ludzi, i syn przejął potrochu od niego to usposobienie. Parę razy jeszcze podczas drogi wracał do tego ulubionego przedmiotu i opowiadał mi o usiłowaniach, które podejmowali wraz z ojcem, do odkrycia jakiego skarbu. Wśród takiej gawędki dojechaliśmy do Lubienia, wioski położonej u stóp góry Luboń. Tuśmy się zatrzymali, by dać dłuższy odpoczynek koniom i sobie trochę czasu do spania. Przed wschodem słońka musieli-

²drzewiej (daw.) — dawniej. [przypis autorski]

³Niedzica — Niedzica nad Dunajcem po stronie węgierskiej. [przypis autorski]

śmy wyruszyć, aby na szczycie góry zobaczyć wschodzące słońce i Tatry, które ztamtąd pierwszy raz odsłaniają się w całej okazałości.

Trudno mieszkańcom równin, którzy nigdy gór nie widzieli, dać wyobrażenie o tym wspaniałym widoku, jaki się przedstawia oczom z Lubonia od małej karczemki, stojącej tam przy drodze. Oko, jak koń puszczone na błonia, hula i pędzi po tych ogromnych obszarach ziemi, pogiętej w pagórki i równiny, poprzerywanej białymi gościeńcami prowadzącymi do Jordanowa, Raby, Nowego Targu, pokrajanej w pasy przeróżnej barwy, jak próbki sukna, zaczernionej lasami, domkami, kościółkami. Człowiek nie wie, gdzie pierwój patrzeć, co pierwój oglądać i podziwiać. Po za tą szeroko ciągnącą się okolicą wznosi się po prawej stronie za siną mgłą, jak za szklaną szybą, rozłożysta Babia góra, która dla okolicznych mieszkańców jest zarazem rodzajem barometru wróżącego słońce lub pogodę. Zanim chmury zakryją niebo i rozplączą się deszczem, pierwój dają znać o tem za pośrednictwem Babięj góry. Skoro głowa jęj obwinie się mgłami, jestto pewny znak bliskiego deszczu. W chwili kiedy ja stanąłem na szczycie Lubonia, dokąd doszedłem pieszo, wyprzedziwszy koniki Jędrkowe, Babia góra jasno i czysto rysowała się na błękitnem tle nieba, co mi dawało nadzieję, że z pogodą zajadę do Tatrów. Tatry te stały przedemną w całym majestacie swoim, podobne ztąd do białych obłoków rozrzuconych na krańcach widnokręgu w najrozmaitszych kształtach. Miałem czas nasycić się tym pięknym widokiem, dopóki Jędrk nie nadciągnął z wózkim. Wtedy wsiałem i z góry na dół pędziliśmy szybko z turkotem po twardym gościńcu, wśród tumanu kurzawy, i niezadługo stanęliśmy w karczmie na Zaborni, gdzie napilem się kawy, a Jędrk i Tereska gorącego mleka.

Za Zabornią znowu droga pnie się do góry, przechodzi koło kościoła świętego Krzyża, bardzo starego, stojącego wśród rozsochatych i gęsty cień dających lip, wije się kręto po górze Obidową zwanęj, chowa się we wsi Klikuszowej, przechodzi przez niewielki strumień, i znowu podnosi się na wzgórze, z którego widać szeroką równinę Dunajca, połyskującego jak rybia łuska w słońcu; a nad tą rzeką okazuje się kościół z białą wieżą i czarnymi dachami przytulonemi jedne do drugich. To stolica górskiej okolicy, Nowy Targ.

Tu na obszernym rynku, w środku którego stoi odrapany budynek podobny do lamusa i ma wyobrażać ratusz miejski, odbywają się kilka razy do roku jarmarki, na których Podhalanie (tak się nazywają mieszkańcy gór) zaopatrują wszystkie swe potrzeby i zwożą swoje produkta, jakoto: sery owcze w kształcie oszczypków i brusków, płótna, sukna brunatnego koloru na guńki, jaja; a w zamian kupują skóry na kerpce i pasy, kapelusze wyrabiane w Orawie, perkaliki i chustki kolorowe. Te ostatnie są szczególniejszą pokusą dla dziewcząt, bo góralki a nawet i górale lubią ubierać się ładnie i okazańie, dlatego też spotykamy u nich większą schludność a nawet elegancyę. Góral nie czeka, jak mieszkanięc dolin, do niedzieli na przewdzianie koszuli, i rad przytem stroi się w mosiężne kółka i spinki, w pierścionki i inne świecidełka. Wiedzą o tem dobrze żydzi handlarze, i mnóstwo krasnych chustek, haftowanych końnierzyków, różnokolorowych perkalików rozkładają na wabika przed oczami tego ludu. Oprócz tych zapasów zbytku i stroju, odbywa się tutaj w Nowym Targu sprzedaż koni i owiec, szczególnieńj pod jesień i na wiosnę. Z tego powodu Nowy Targ jest ważnym punktem dla każdego górala; mało który pomija sposobność pielgrzymowania bodaj raz na rok, aby się pomodlić, kupić co lub sprzedać — i upić. Książdz i karczmarz niemały procent mają z każdego takiego jarmarku.

Nadto Nowy Targ jest siedzibą władzy sądowej i administracyjnej, ma przytem kilka sklepów, które okolicę zaopatrują w towary kolonialne; aptekę, browar, gdzie wyrabiają liche piwo, pocztę; a panie sędzine, doktorowe, aptekarzowa stanowią arystokrację towarzystwa. W mieszczaństwie przeważa cech szewski, co jest tem ciekawsze, że jak wiadomo, górale nie noszą butów.

Zanim wyjedziemy z Nowego Targu, poprowadzę was jeszcze przez Dunajec po szerokim wygodnym moście na wzgórze, na którym jest maleńki drewniany kościółek świętęj Anny, otoczony cmentarzem. Chciałem go wam zaś pokazać dlatego, że jestto kościółek bardzo stary i wiąże się do niego podanie, że go zbójnicy wybudowali, czy też ofiarowali do wielkiego ołtarza obraz, który zrabowali poprzednio na Węgrach. To przypomina owych średniowiecznych rycerzy, którzy za złupione pieniądze stawiali kościoły. Zbójnicy tatrzańscy mieli coś rycerskiego w sobie, i rzemiosło ich i podania o nich nietylko

nie budzą wstrętu u Podhalan, ale owszem otacza je pewien urok i poszanowanie. Ma to swój powód głębszy; zrozumiecie go łatwo, skoro wam powiem, z kąd powstał u górali pociąg do zbójckiego rzemiosła. Posłuchajcie:

Cała dzisiejsza Nowotarszczyzna aż po stoki Tatrów należała do dóbr królewskich, zarządzali nią starostowie, a lubo prawa królewskie, rozległe przestrzenie i niedostępne lasy zabezpieczały potrochu swobodę górali, to jednak chciwość i surowość starostów znajdowała sposoby ciemiężenia ich. Prześladowani chronili się wtedy w lasy i tam pod dowództwem najodważniejszego i najrozsądniejszego, którego nazywano marszałkiem, prowadzili żywot swobodny, utrzymując się z rozboju i napadów. Że nieraz taka ucieczka w lasy przybierała ogromne rozmiary, świadczy o tym wymownie powstanie Kostki Napierskiego za Władysława IV. Cała Nowotarszczyzna zbuntowała się wtedy, Kostka Napierski porozumiewał się wówczas z drugim rokoszaninem Chmielnickim i wspólnie z nim działał. Część ludu obległa zamek Czorsztyń, i zdobyła go. Dopiero wojsko biskupa Gębickiego położyło kres temu buntowi, a Napierski pochwycony, został stracony na rynku krakowskim. Co jest najciekawszym w tym całym zdarzeniu, to to, że lud tatrzański buntując się przeciw starostom i szlachcie, dla samego króla najżywszą okazywał miłość, i Napierski tylko tym sposobem pociągnął go do otwartego buntu, że udał, jakoby sam król tego sobie życzył dla ukrócenia swywoli szlacheckiej. Pokazywał nawet uniwersały tj. rozkazy królewskie, niewiadomo czy prawdziwe, czy fałszowane, i dlatego lud garnął się do niego licznie. Ale skoro przekonano się, że Napierski działa bez woli królewskiej, odstąpiono go, i to ułatwiło zwycięstwo wojskom biskupim. Górale nie chcieli występować wbrew woli króla, bo królów szanowali i miłowali, gdyż przywileje i prawa królewskie broniły ich zawsze i ochraniały. Zrywali się na złych urzędników, ale nigdy na króla; uciemiężeni uciekali w lasy i z potrzeby stawali się rozbójnikami.

To nam tłumaczy jasno, dlaczego stan zbójcki był w poszanowaniu u ludu; stał się on rodzajem rycerskiej szkoły, gdzie młodzież ćwiczyła się w odwadze, zażywała swobody i wesołego życia. Opowiadania porobiły z dawnych zbójników bohaterów i kusily młodzież do naśladowania. Później z wytrzebieciem lasów, uorganizowaniem policji wytępiono także i bandy zbójników, ale nie zupełnie; bo jeszcze kilka lat temu odkryto bandę rabusiów pod kierownictwem Mateja. Nie byli to jednak już zbójnicy w dawnym znaczeniu, ale raczej szajka rabusiów i złodziejów, którzy porozumiewali się z sobą i od czasu do czasu robili wyprawy na jaki dwór lub plebanię, a potem wracali cicho do chat swoich. Długo im to uchodziło; ale raz z okazji zamordowania jednej dziewczyny na Chranczówce sąd padł na ślad szajki, wyłapano ją i osadzono w Sączu, gdzie herszt jej Matej umarł w roku 1872. Obecnie nie ma już zbójników w Tatrach, a jeżeli którego młodego napada chęćka do życia swobodnego, wesołego, to chwytą za ciupagę⁴ i idzie w góry, ale nie żeby zabijać, jeno paść owce i biegać po halach. Paszenie owiec połączone z trudami, niewygodami i niebezpieczeństwami, zastępuje dziś poczęści ową szkołę rycerską tatrzańskiego ludu.

Otóż rozgadałem się, a tam Jędrzek czeka na mnie niecierpliwie na rynku nowotarskim. Wracam tedy do niego i siadam co tchu na wózek, bo mamy jeszcze trzy dobre mile do Zakopanego przez wsie Szaflary, Biały Dunajec i Poronin. Wsie te daleko od siebie rozrzucone, ciągną się nad brzegami Białego Dunajca. W Szaflarach stał niegdyś zamek Komorowskich na skale. Dziś z zamku ani śladu, a skalę całą prawie rozkopano na wapno. Są ludzie, którzy płaczą za tem znikaniem starych zamków; co do mnie, wolę szkołę lub szpital powstały choćby ze szczątków starego zamczyska, niż bezużyteczną ruinę, która często przypomina to, o czem zapomniećby należało.

Sama wieś Szaflary jest brzydka; chaty na kupie jedna przy drugiej, bez drzew, grunta jałowe i okolica nieładna. Zato Biały Dunajec ma już weselsze położenie. Zatrzymam was czytelnicy moi w tej wsi przed domkiem wybudowanym w szwajcarskim guście, z piwniczką pod gankiem, z ogródkiem, w którym stoi kilka ulów. Potem poprowadzę was kilkadziesiąt kroków dalej i pokażę wam dom inny, porządne obejście gospodarskie, podwórko wyłożone kamiennymi płytami, kuźnię murowaną, a wszystko to otoczone wysokim drewnianym parkanem i zamknięte bramą wygląda na dwór; a przecież jest to tylko chłopskie mieszkanie. Oba te bowiem domy, które wam pokazałem, należą do

⁴ciupaga (gw.) — laska z toporkiem. [przypis autorski]

dwóch zasobnych górali braci Pawlikowskich. Ale bogactwo to niejedyny majątek, jaki mają, bo oprócz tego mają naukę, skończyli bowiem po kilka klas gimnazjalnych, a mimo to wrócili do góralskiego stroju i pracy. Na dolinach nie spotykamy podobnych przykładów. Tam skoro chłop zdobędzie się raz na posłanie syna do szkół, ani chce słyszeć o tem, by wracał do roli; pcha go coraz wyżej i woli, że syn jego zostanie księdzem bez powołania, lichym urzędnikiem, byle tylko przestał być chłopem. Przeciwnie u górali zdarzają się częste wypadki, że młody chłopak po ukończeniu kilku klas, skoro nie pokazuje nadzwyczajnych zdolności, wraca do domu, do bydła, roli lub innego zatrudnienia. W ten sposób oświata szybszym tu, niż na dolinach postępuje krokiem. Taki cztero lub sześcioklasista staje się wzorem i nauczycielem we wsi; to też rzadko o górala lub góralkę, którzyby się w kościele z książki nie modlili, a Zakopane ma nietylko swoją czytelnię, ale kilku górali, z którymi można o wszystkim rozumnie pogadać. Nadto ocieranie się w szkołach o ludzi różnych stanów, stosunek z gośćmi przybywającymi do Zakopanego pozbawiło całkiem lud górski owęj dzikości i nieufności w obcowaniu, jaką ma lud dolin. Góral umie swobodnie a bez zuchwałości bawić się w towarzystwie osób miastowych, nie żenuje go wcale siedzenie na kanapie lub taniec z panną w jedwabiach, a w przyjęciu gości u siebie mają ową naturalną, niewymuszoną grzeczność, której tradycja przechowała się w dworach szlacheckich. Zdarzyło mi się być raz na weselu góralskim w Poroninie, a bawiłem się tam lepij i serdeczniej, niż na niejednym mieszczańskim balu, i nasłuchałem się toastów daleko poważniejszych i rozumniejszych, niż na obiadach literackich. Jeden szczególniej toast utkwił mi w głowie, który był téj treści, że lud jest płotem, a panowie kółkami w tym płocie, że na łączności tych dwóch rzeczy polega siła, bo płot upadnie, gdy kółki się usuną, a kółki bez płotu na nic się nie zdadzą. Taki toast powiedział prosty góral.

Kiedy już jesteśmy w Poroninie, muszę wam dodać, że przed wybudowaniem kościoła w Zakopanem, tutaj lud chodził na nabożeństwo. I dziś jeszcze wielu Zakopian chętniej tu ciągnie w niedzielę i święta, a szczególniej na Maryę Magdalę, bo wtedy tu odpust. Suną wtedy z różnych stron i gościeniem i po stokach gór, niby kolorowe robaczki, górale i góralki, a między nimi widać ciemne, połyskujące jak jedwab koszule juchasów⁵. W ten dzień bowiem przychodzą oni z gór na dzień cały; pomodlą się w kościele, potańczą w karczmie, i nad ranem wracają znowu do owiec w góry. W ten dzień nietylko kościół, ale i cmentarz w Poroninie jest pełen ludu. Górale bowiem, podobnie jak Tyrolczycy, są bardzo nabożni. Każdy wita się słowem bożem, przechodząc koło siebie, księdzu na mszę chętnie ostatni grosz poniesie, po drogach stawia krzyże i figury, i parę razy do roku pielgrzymuje do Kalwaryi na nabożeństwo i ogórki, a do Krakowa na Matkę Boską Szkaplerzną, z ką przynosi do domu szkaplerze i kukielki. Moja Tereska, choć to nie był odpust, wiozła spory tego zapas dla krewnych swoich. Przez drogę układała i rodziłała te prezenta, tłumacząc mi, dla kogo który przeznaczca.

Zaledwie pół mili oddzielało nas od domu Jędrka. Tatry widać było w całej okazałości przy blasku zachodzącego słońca. Z sinych lasów wysuwały się nagie, skaliste wierzchy jedne po drugich, ubielone tu i owdzie śniegami, ozłoczone słońcem i pokrajane czarnymi smugami cieniów, które rosły w miarę im słońce bardziej się zniżalo. Jechaliśmy wśród szmaragdowych, pachnących łąk, na których ludzie zajęci byli zbieraniem siana. Dunajec szumiał wciąż koło drogi; wody jego miały przejrzystość kryształu, w głębszych miejscach przybierały przejrzysty kolor zielony, a wśród kamieni rozpryskiwały i pienily się białą jak śnieg pianą. Po pół godziny takiej jazdy spytałem Jędrka:

— A gdzie twój dom? Chyba gdzie za wsią.

— Kaj ta panoczku koniec wsi... będzie z pół mili jeszcze. A my mieszkamy przed kościołem. O! tam.

Wskazał batem na drugą stronę rzeki, gdzie pod lesistą a w połowie uprawną górą Gubałówką stało kilka chat otoczonych olszynowym gajem. Skręcił na prawo z drogi, minął mostek i młyn, przejechał łąkę i zatrzymał wózek przed chatą, na progu której siedział stary góral z siwymi długimi włosami, trzymając na kolanach małą, może czteroletnią dziewczynę, a dwoje innych dzieci bawiło się koło niego.

— Pochwalony — rzekł Jędrak, zeskakując z wozu.

⁵juchas (gw.) — pasterz. [przypis autorski]

— A, to wy... na wieki... witajcie — odrzekł stary. Kogożeście to przywieźli?

— Panoczka z Krakowa.

Stary podał mi na powitanie pomarszczoną i spracowaną rękę i rzekł:

— Witajcie.

Tereska tymczasem przywitawszy dzieci i wpakowawszy im w ręce bułki i rogałe, poszła wyprzątać dla mnie izbę.

II. ZAKOPANE I JEGO MIESZKAŃCY

W godzinę po przyjeździe leżałem już, wypoczywając po trudzącej drodze, na wysokim łóżku góralskim, wysłanem świeżem sianem, przykrytem białą płachtą. Nademną na żerdzi wisiały pierzynki i poduszki w kraciastych niebieskich poszewkach. Im więcej takiej zapasowej pościeli, tem lepiej to świadczy o zamożności domu. Pościel bowiem, kożuszki i płótno, stanowią tu majątek domowy; a obrazy i miski polewane, świecące na rzeźbionych półkach dokoła izby, należą do koniecznych warunków zamożności. Miski te, talerze i garnuszki mało kiedy są używane, a liczba ich rośnie z każdym jarmarkiem lub odpustem. Górale lubują się w tego rodzaju zbytku. Żadna izba nie obejdzie się bez tej ozdoby. Izby góralskie odznaczają się, szczególnie w lecie, czystością, a że są niebielone, jeno deskami wyłożone, więc zdają się podobne do wnętrza skrzyni wylepionéj obrazami. Stół na skrzyżowanych nogach, ławy wysokie stojące dokoła ścian i szafeczka bez drzwi, stanowią całe umeblowanie takiej izby, nazywanéj tu świetlicą, choć małe okienka niewiele dają światła. Po drugiej stronie sieni jest tak zwana izba piekarska, która w porze letniej, gdy świetlice wynajmuje się gościom, służy za mieszkanie całej rodzinie góralskiej. Tam oni siedzą, warzą i jedzą, a śpiją wtedy w szopie na sianie.

W téj chwili z izby piekarskiej dolatywały mnie urwane tony strojonych skrzypców i głosy piszczałek, na których dzieci Tereski niemiłosiernie wygwizdywały. Nie mogłem usnąć, więc poszedłem tam. Koło pieca, na którym warzyła się wieczerza, stała Tereska i dużą łyżką mieszała mąkę na kluski; tuż przy ogniu siedziała córeczka jéj Kasia i grzała bosc nóżki, a dziadek siedział przy niéj i przez okulary w rogowej oprawie czytał zatłuszczoną jakąś książkę. Jędrak zaś leżąc na łóżku popychał od czasu do czasu jedną nogą kołyskę wiszącą nad nim na żerdzi i kołysał do snu najmłodszego syna.

— A wy co czytacie? — spytałem dziada.

— Sennik, panie — odrzekł stary, zdejmując okulary.

— A to na co?

— Jak to na co? czy to nie wiecie, na co sennik? Żeby sen wytłumaczyć i wiedzieć, jaki numer postawić na loteryi.

— A czy to religia pozwala wierzyć w sny?

— A czemu nie? To przecie sny, jak wszystko, od Pana Boga pochodzą, a są tacy ludzie, którym Pan Bóg daje moc cudowną odgadywania snów, jak Józefowi Egipskiemu.

— Albo temu, co pisał tę książkę.

— A kto wie? Może on to ma od Pana Boga. Inaczejby nie drukował przecie.

Wiedziałem, że nie przekonałbym starego o fałszywości jego wiary rozumowaniem, i zamiast czas na to tracić, zapytałem wprost:

— No i wyśnił wam się jaki sen podług sennika?

— Ba, niejeden.

— Może i numer a jakie trafiliście?

— To nie, bo nie kaźden numer dobrze się wyśni. Inaczej ludzie by straszne majątki porobili na loteryi. Ale jak kto ma szczęście, to często dobrze utrafi.

— A wy nie macie szczęścia?

— Kto to wie? To wszystko od mocy boskiej zawisło. Może mnie jeszcze sądzono być bardzo bogatym, nie przez loteryę, to innym sposobem. U nas tu na bogactwie nie zbywa, tylko trzeba wiedzieć, jak go szukać.

— I gdzież te bogactwa? — spytałem.

— Wszędzie — rzekł stary Bartłomiej z tajemniczą miną — po pieczarach, po starych dębach, pod skałami, a i w ziemi niemało złota. Ta to wy piśmienny człowiek to musieliście zapewne czytać, że tu u nas były kopalnie złota i srebra za starego króla. Za Kościeliskami

można jeszcze widzieć jamy, gdzie były roboty. Jeżeli było złoto, to i jest, gdzieżby się podziało? Wszystkiego ludzie nie zabrali, bo Pan Bóg ma więcej, niż rozdał.

— Może być — odrzekłem, by uleczyć starego z jego próżnych nadziei, że w *stariej robocie* i w innych miejscach w górach znalazłoby się trochę złota lub srebra, ale dobywanie więcej by kosztowało, i dlatego nikt się nie kusi o to.

Bartłomiej potrząsnął głową z niedowierzaniem.

— Byli tu tacy — rzekł — co inaczej mówili. Jednego roku przyjechał tu jakiś niemłody pan z cudacznymi jakimiś sprzętami, przez które patrzył, wkładał do wody, brał ze sobą na góry i przyglądał się im co chwila.

— To były zapewne lunety, barometry i termometry?

— Nie wiem, jak się to tam wszystko nazywało, aleśmy z tem chodzili po różnych górach i parowach, a pan ów ciągle coś oglądał, pukał w skały, zaglądał do każdej dziury i pilnie to wszystko zapisywał. To był nielada spekulant, i ja się zaraz domyśliłem, czego on szuka.

— I czegoż?

— A juźcić złota. Przecież za czem innym nie łąziłby tak skwapliwie. Raz nawet ośmieliłem się spytać go o to, choć to był mruk wielki, i rzekłem:

— Cóż panoczku, znajdziemy te bogactwa, czy nie?

— A on rozśmiał się z was?... co?

— Coby się zaś miał śmiać? Spojrzył on na mnie dziwacznie jakoś i rzekł poważnie: macie wy bogactwa większe, niż się domyślacie; tylko je dobyć trzeba. W tem sztuka. A to był mądry człek, panoczku, i rzetelny, to pewnie nie kłamał.

Gdy to opowiadał o nieznanym podróżniku Bartłomiej, cała rodzina słuchała go z wielkim zajęciem, a najbardziej Jędrk. Podniósł się na łóżku, odłożył skrzypce na bok i zasłuchał się cały, a oczy jego błyszczały dziwnym ogniem.

— Gdyby to znaleźć taki skarb — odezwał się, gdy ojciec przestał mówić — człekby nie potrzebował tak ciężko pracować, i odetchnąłby trochę.

— A czy wy wiecie — spytałem — co nieznanomy rozumiał pod bogactwem owem?

— A cóżby, jeno pieniądze.

— Tak, ale pieniądze zakłete, które bez pracy dobyć się nie dadzą.

Chciałem dalej o tem mówić, gdy drzwi się otworzyły i wszedł młody góral w czarnej koszuli i lichem ubraniu.

— Pochwalony... witajcie — rzekł.

— Witaj Stachu.

— Wy dawno z Krakowa?

— Co ino.

— I cóż Kuba zdrowy? — spytał, zbliżając się do Tereski. — Pytał się o brata, którego odwiedzali w lazarecie.

— Oj, nie wygrzebie się z téj biedy.

— Pozdrowiliście go odemnie?

— A coby nie?

Rozmowa się urwała. Góral usiadł pod oknem, milczał chwilę, potem spytał starego:

— Wy nie idziecie do *bani*?

— Bo ja wiem? — odparł, skrobiąc się po głowie Bartek i namyślał się.

— Chodźcie, chodźcie, zarobicie parę papierków to dla nas biednych niemała rzecz.

— Paroma papierkami biedy nie wyżenie z chałupy.

— Ale to zawsze pomoc. Chodźcie, chodźcie; z wami mi jakoś raźniej robić. A dawnoście już nie byli. Kasyjer pytał się, czy już nie chcecie być *hawiarzem*?

Nie zrozumiałem wiele z téj rozmowy, i dlatego zapytałem się Jędrka, co znaczy *bania*, a co *hawiarz*?

— Bania, wiecie — rzekł Stach żywo, wyręczając leniwego Jędrka — to jama, gdzie kopujemy rudę.

— Jaką rudę?

— Ano żelazną. A my, co kopujemy, nazywamy się hawiarze. Wiecie teraz?

Rozgadawszy się, opowiadał mi dalej Stach, że pracują w bani pod Magórą, że pracują spółkami po czterech lub sześciu, że oprócz zarobku dostają za nowego właściciela mundur górniczy, że mają swoją muzykę i inne tym podobne rzeczy. Potem, znowu zwrócił się do

Bartłomieja, który jakoś nie miał ochoty iść do bani, i tak go zaczął namawiać, że stary zdecydował się iść i wyszedł do komory, by się przebrać.

— I nocą pójdziecie? — spytałem.

— A nocą, panie, żeby rano już rozpocząć robotę. Teraz miesiączek świeci, to pójdziemy rażno.

— To przyjdziecie pomęczeni.

Rozśmiał się wesoło i rzekł:

— A czem?... Góral chodzeniem się nie zmęczy tak prędko.

Spojrzał na skrzypce i odezwał się:

— Ano byś zagrał co Jędrku.

Jędrak nie dał się długo prosić. Ochota do grania i tańca u górali na poczekaniu. Byłe skrzypki i trochę miejsca, już zabawa i taniec. Ledwie Jędrak przyłożył skrzypce do twarzy i grać zaczął, przytupując sobie nogą, wnet Stach począł przebierać nogami i skakać; a za nim wysunęła się Tereska z pod pieca i kółkiem kręciła się koło niego. Czasami Stach zatrzymał się, klasnął w dłonie, wtedy ona wpadała mu w ramiona, zakręcili się oboje, jak wicher, gdy tumanem liści i prochu zakręci; i znowu puścili się, i on przebierał i tupał na miejscu nogami, a ona drobym kroczkiem boczkowała koło niego.

Tak tańczy góral w domu, w szałasie, tak samo w karczmie. Choćby było najwięcej miejsca i ludzi, zwykle tańczy tylko jedna para lub dwie, reszta się przypatruje tylko. Taniec ich więc jest raczej popisem, niż uciechą. Znają wprawdzie i Lacha⁶, ale go nie radzi tańczą; wolą zawsze swojego dreptaka.

Jeszcze Stach nie ukończył tańca, gdy wszedł Bartek w posmolonem ubraniu hawiarza, miał na plecach worek z narzędziami i chlebem na dni kilka, a w ręce kaganek górniczy. Zaraz po wieczery ruszył ze Stachem w drogę.

Po jego odejściu wróciłem do mojej izdebki i wnet położyłem się spać. Obudził mnie grzmot silny. Zerwałem się przestraszony i pobiegłem do okna, które gwałtowny wicher otworzył. Na dworze było ciemno, chmury warczały częstymi grzmotami, a błyskawice od czasu do czasu rozdzierały ciemności i rzucały oślepiające blaski na okolicę. Burza stała się coraz zawziętszą, silniejszą. Wiatr szamotał olszynowym gajem, targał go i szarpał nielitościwie, wyl między chatami i huczał w kominie. Dunajec szumiał i pienił się wezbranymi wodami, a deszcz lał strumieniem. Stałem długi czas w oknie, myśląc o Stachu i Bartłomieju, czy wczas przed burzą doszli do kopalni, lub czy ich burza w drodze zaskoczyła. Zmiana wiatru, który skierował deszcz prosto w moją izbę, zmusił mnie zamknąć okno. Późno w noc ustała burza, i położyłem się spać powtórnie koło trzecieć.

Na drugi dzień po burzy śliczne nastąpiło rano. Okolica cała obmyta deszczem wyglądała świeżo i pięknie, jak dziewczyna, gdy po płaczu się uśmiechnie. Powietrze było świeże, czyste, drzewa zieleńsze, na każdym listku drżały brylantowe krople rosy, w których promienie słoneczne łamały się różnymi kolorami.

Wyszedłem przed chatę. Tereska z sierpem szła w pole.

— Słyszeliście panie zawieruchę? — spytała.

— Trudno było nie słyszeć. Straszna burza. Musiała waszego ojca złapać w drodze.

— Przeczekali ją pewnie w karczmie w Kuźnicach.

— A gdzie Jędręk?

— Poszedł siec trawę na Gubałówkę. O! widzicie go panie tam, pod lasem.

— Pójdę do niego.

— A idźcie. Nadziwicie się ztamtąd światu, bo ztamtąd go moc widać.

Poszedłem ścieżką w górę. Im wyżej szedłem, tem piękniejszy odsłaniał się widok na dolinę zakopiańską i góry. Dolina ta ciągnie się długim pasem wzdłuż Dunajca, pokrajana kilkoma górskimi potokami, zarosła tu i owdzie świerkowymi lasami; ciemne chaty góralskie porozrzucane szeroko ożywają ją, a kościół z dzwonnica, otoczony dość gęsto chatami, stanowi główny punkt tej zielonej doliny, ciągnącej się aż pod lesiste podnóża gór. Len i owies stanowią całe gospodarstwo rolne górala, koło domów widać grządki kapusty i ziemniaków, starannie i z trudem utrzymywane; resztę pola zajmują łąki ubarwione przeróżnym kwieciami. Łąki te żywią konie i bydło; owies i ziemniaki stanowią jedynę pożywnie górala, a len odziewa go. To też zbiór siana, owsa i lnu, to najważniejsze

⁶Lach — rodzaj krakowiaka. [przypis autorski]

chwile w życiu tutejszego ludu. Nieprzyzwyczajony on do systematycznej i ciągłej pracy, jaką widzimy na dolinach; ale gdy przyjdzie pora stosowna, to każdy pracuje za trzech i zwija się żywo i zręcznie, bo od pośpiechu zależy wszystko. Natura tu kapryśna, pogoda niestała; trzeba więc korzystać z chwili porywać z pola plon przed deszczem i śniegiem. Wtedy jeden drugiemu pomaga, i to nie za zapłatę, ale bądź przez pokrewieństwo, bądź przez dobre serce. Najemników nie widziałem w górach. Pod tym względem jest stosunek bardzo patryarchalny. Jeżeli jaki zamożny gazda ma zbierać owies lub len, wszyscy znajomi jego, krewni, sąsiedzi idą mu pomagać, a jeżeli jeszcze do roboty sprowadzi muzykę i da wódki trochę, to nie potrzebuje się już troszczyć o robotników. Chłopcy i dziewczęta zwijają się ochoczo przy odgłosie skrzypców i basów; jedna para zwykle tańczy, inne pracują, potem inna tańczy na przemiany, i robota idzie żywo wśród ogólnej wesołości, śmiechów i śpiewów. Gazda odwzajemniając się za taką pomoc uboższym robotnikom, to zagon pod ziemniaki zaorze, to len im zwiezie do stodoły, lub inne sąsiedzkie oddaje usługi. — Główną tu rolę gra pokrewieństwo; ależ bo cała wieś stanowi jedną rodzinę. — Jeżeli kto komu nie brat, to swat, albo kum. Zakopianie bowiem żenią się dość chętnie między sobą. Tylko zamożniejsi wydają swoje córki do Orawy lub na Węgry. Mąż, który idzie na grunt żony, przyjmuje jej nazwisko i wołają go we wsi po tem nazwisku. Nazywa się to, że się przyżenił. I tak np. mój Jędrak po żonie nazywał się we wsi Jadzarz, choć właściwe nazwisko jego było Tatar. „Woła się Jadzarz, a pisze się Tatar” — tak określiła mi to Tereska, która szła ze mną pod górę na robotę do swego dziadka. W połowie drogi poszła na prawo, a ja skręciłem na lewo ku Jędrkowi. Widok ztąd był prześliczny. Na tle niebiesko-perłowego nieba rysowały się jak na mapie dokładnie wszystkie szczyty od Orawy do Spiżu, coraz to wyżej. Wyglądały jakby schody do nieba.

— Widzicie panoczku — tłumaczył mi Jędrak, przerwawszy za mojem przyjściem robotę i oparłszy się na kosie — te góry, co tam za mgłą widać, to Rohacze, Kominy, a ta góra, co się w tyle chowa i tylko jej czubek widać, to Bystra, a panowie nazywają Pyszna. Zobaczycie ją lepij, jak pojedziecie w Kościeliska, bo tamtędy do niej dostać się najłatwiej. A tu bliżej nas ta ruda góra, co tak sterczy nad regłami, to Czerwony wirch.

— A to co za jedna, co jak dwa ogromne skrzydła sępie się wydaje?

— To Gewont. Ej miłość panoczku popatrzeć ztamtąd na świat Boży. Dobrzeście powiedzieli, że to skrzydła, bo kto na nich stanie, to mu się zdaje, że jak ptak może latać po okolicy. Domy, pola, kościoły i rzeki widno ztamtąd jakby na papierze wymalowane, a takie to wszystko małe, że strach. Gościeniec i Dunajec to ztamtąd wydają się, jakby kto białe nitki położył na zielonej trawie, a naszej chaty ani dopatrzeć, chyba przez te rury, co to panowie mają. Patrzał i ja raz przez taką rurę ztamtąd.

— A ty chodził z panami za przewodnika?

— Nie, ja tam juchasił na Małej Łące, to często za owcami chodziłem na Gewont, często siadałem w tym siodelku. Strach spojrzeć ztamtąd na dół. Jakby człek zleciał, toby się na kawaleczki rozsypał, bo naga skała idzie aż do samego dołu, jak ściana.

— A przecież las pod nią widać.

— To się tylko tak zdaje, jakby on był przyklepiony do Gewontu; ale tak nie jest. Między lasem a górą jest przepaść, dolina, która idzie od Strążysk. Jest tam potok, co ze skały leci na dół z kilkanaście sągów; my to nazywamy małą Siklawą. Mój tatuś chodził tam nieraz, bo w skale, po której woda płynie, jest dziura, w której, jak mówią, mają być pieniądze. Nie śmiejecie się, panie — mówił dalej Jędrak, widząc, że na wspomnienie zaklętych pieniędzy rozśmiałem się — bo niedaleko tego miejsca, jak się idzie od Strążysk do Białego, jeden gazda przed kilkudziesięciu latami znalazł grube pieniądze. Było to tak: Jacys podróżni przyszli do niego na nocleg i jęli rozpytywać, którędy tu się idzie do Białego i jaka tam droga, i czy o kilkadziesiąt kroków od drogi jest dąb spruchniały, a koło dębu duży kamień. Gazda zmiarkował, że ci ludzie nienapróżno o to pytają, i pokazał im inną drogę, a sam poszedł do Białego, szukał miejsca, jak mu je opisali podróżni, i znalazł duże pieniądze. Były to pieniądze po zbójnikach, którzy uciekli na Węgry i którzy z pewnością musieli o nich powiedzieć podróżnym. Gazda zabrał pieniądze i za połowę wybudował kaplicę pod kościołem, a resztę schował dla siebie. Ale te pieniądze nie wyszły mu na dobre, bo się rozchorował i umarł.

Nie mogłem się przekonać, o ile prawdy było w opowiadaniu Jędrka, i chcąc oderwać jego myśli od tych skarbów, które mu się wciąż roily po głowie, zapytałem:

— A gdzie tu Morskie Oko?

— O Rybie pytacie? O! Rybiego ztąd nie widać; ale widzicie te góry, po których teraz chodzą białe obłoki, niby owce, to Koszysta, a obok niej Krzyżna, Granaty, Lilijowa. Między nimi jest siodelko, to Zawrat. Przez to siodelko trzeba przejść, minąć dolinę Pięciu stawów, które jak ogromne oczy czernią się tam wśród nagich skał, trzeba przejść przez Świstówkę i Opaloną, to się zejdzie do Rybiego, co leży pod szaremi skałami Mnicha. Nad Rybiem jest jeszcze drugi staw czarny. Nieraz ja tam wodziłem panów. Jak macie nogi krzepkie i ochotę, to was tam zawiodę.

— Dobrze — rzekłem — pójdziemy do Morskiego, a przedtem jeszcze do Kościelisk.

— O! do Kościelisk nieduża droga i łatwa. Dojechać można wózkiem. A napatrzeć się jest czemu, bo tam bardzo cudnie.

— Więc jutro ruszymy w drogę. Dobrze? A po drodze będziemy szukać zaklętych skarbów.

Jędrzek popatrzył mi uważnie w oczy, chcąc się przekonać, czy nie drwię z niego.

— A może wy macie sposób na to? — spytał z niedowierzaniem.

— Mam — rzekłem — i pokażę ci, gdzie są zaklęte pieniądze i jak się ich szuka.

Jędrka oczy roziskrzyły się radością i zawołał:

— Oj, panoczku, gdybyście to mogli, tobyście nam biednym ludziom dopomogli.

— Ja też właśnie to chcę zrobić. Więc jutro zaczniemy szukać.

— A możeby po tatusia posłać. To nie tak daleko. O! widzicie za temi białymi domkami, co widzieć w kącie doliny pod Nosalem. Tam są kuźnice, a za kuźnicami jest polana Kalatówka, gdzie mamy nasze owce i krowy. Tereska tam często chodzi po mleko, to dziś jeszcze może tam zabiegnąć, bo od Katalówki do Magóry niedaleko, a w Magórze są kopalnie, w których mój tatuś robią.

— Niepotrzeba ojca twego; niech pracuje, bo przez pracę także się znajduje zaklęte pieniądze; i te są najpewniejsze.

III. PODCZAS SŁOTY

Na drugi dzień wstałem wcześniej, by porobić małe zapasy do całodniowej wycieczki w Kościeliska. Jakież było moje zdziwienie, gdy zbliżywszy się do okna, nie zobaczyłem gór. Cały ich olbrzymi łańcuch znikł bez śladu; na ich miejsce brudne chmury zasłaniały niebo i opuściły się aż po same regle. Była to zapowiedź, jak mi powiedział Jędrzek, długiej niepogody. I rzeczywiście niezadługo drobny a gęsty deszcz począł padać i padał dzień cały i noc, i znowu następnego dnia prawie bez przerwy. Dunajcowe wody podniosły się i brudno-żółtą przybrały barwę; ścieżki i drogi rozmiękły. O wycieczce ani można było myśleć. Musiałem odłożyć ją na czas piękniejszy, a tymczasem przepędzałem dni to na czytaniu, to na gawędce z Jędrkiem i jego żoną, lub bawieniu się z ich dziećmi. Miałem sposobność przypatrzeć się wtedy bliżej ich życiu i przekonałem się, że górale przy całej swojej zwinności, zręczności, mają wielką skłonność do lenistwa. Potrzeb mają mało, bo się żywią bardzo nędźnie owsianą mąką i mlekiem; więc potrzeba nie zmusza ich do pracy, a brak sposobu zarobkowania pomaga im w lenistwie. Pracują, gdy już koniecznie trzeba, pracują chwilowo, dorywczo; a potem marnują czas na leżeniu, łożeniu koło domu lub do sąsiadów. Mówię tu przeważnie o mężczyznach, bo kobiety zawsze mają coś do roboty koło domu, i wogóle kobiety w górach nie tylko są pracowitsze, ale wykonywują także takie roboty, które na dolinach zwykle należą do mężczyzn. Nierzadko można widzieć góralki zwożące siano, młójące cepami zboże, jadące konno za bydłem. Tylko orka i kośba są wyłącznym przywilejem mężczyzn. Tu się zastąpić nie dają. To zajęcie jednak niewiele im czasu do roku zabiera. W zimie zwożą z gór z szalasów siano do wsi, lub wożą żelazo do Krakowa i Tarnowa, i tem zarabiają sobie na sól i krupy. A jednak to lud bardzo zdatny do wszystkiego. Czego się chwyci, to mu idzie składnie, bo jest zmysłny, sprytny i zręczny. Najlepszy na to dowód, że sami sobie umieją zrobić wszystko, co im w gospodarstwie jest potrzebne. Mało który potrzebuje cieśli do zrobienia domu, bo sam sobie da radę, byle tylko mu pokazać. Sami sobie strugają stolki, stoły, ławy i inne narzędzia gospodarskie; wyrabiają toporki, tkają sukno na guńki, na spodnie, wyrabiają i blichują płótno, szyją kerpce i pasy; słowem oprócz kapeluszy, które sprowadzają z Orawy, góral wszystko sobie zrobić umie, co mu potrzeba. Ale też nad potrzebę nic.

O rzemiośle, o pracy ciągłej, o doskonaleniu się ani myślą. Zrobiwszy, co mu potrzeba, odpoczywa. Są obojętni na stały zarobek; a przytem jednak są chciwi na pieniądze. Gdzie im się nadarza zarobek łatwy, tam chcieliby skorzystać jak najwięcej, bez względu czy praca ich warta takiej zapłaty, czy nie. Goście zwiedzający Zakopane i Tatry rozbudzają w nich bezwiednie tę chciwość, płacąc im za produkta lub pracę nie według wartości, ale podług kaprysu. Przez to ceny rzeczy niesłychanie idą w górę, i dziś już Zakopane nie o wiele jest tańsze od niektórych miejsc kąpielowych. Ale tam przynajmniej goście mają wygody i przyjemności, o które się właściciele postarali; tu zaś każą sobie płacić równie dobrze, a o wygody gości nie dbają wcale. Na udowodnienie tego dość powiedzieć, że za parę izb ciemnych, za które dawniej płaciło się miesięcznie ośm do dziesięciu reńskich, dziś górale żądają po pięćdziesiąt i więcej, a to tylko dlatego, że raz jeden lub drugi gość powodując się fantazją, a może litością, zapłacił taką sumę. Góral z tej łaski zrobił sobie normę, i innym tak samo płacić każe. Jeżeli tak dalej pójdzie, to za lat kilka Zakopane będzie najdroższem miejscem pobytu w lecie, i odstręczyć może gości, którzy dziś tak licznie je zwiedzają. Szczególniej Kongresówka daje znaczny procent co rok. Bywają lata, w których liczba gości dochodzi do kilkuset. Zjeżdżają tu na żętycę i kąpiele do Jaszczurówki. Jestto źródło wody cieplej (16 stopni ciepła podług R.), nazwane od jaszczurek czarno-żółtych, kryjących się nad jej brzegiem, Jaszczurówką. Od kilku lat wybudowano nad źródłem łaźienki; ale dojazd do nich przykry i zbyt odległy są od wsi. To też wiele osób przestaje na rzecznych kąpielach w Dunajcu, które także bardzo wzmacniają. Największą jednak zaletą Zakopanego jest powietrze, powietrze przepelnione balsamiczną wonią żywicznych lasów i łąk, zdrowe i czyste. Kąpiel w takim powietrzu dodaje sił, zdrowia i humoru nawet. Do tego swoboda wielka, bo domy oddalone od siebie, zasłonięte drzewami; więc każdy panem u siebie, bawi się i chodzi, jak mu się podoba i gdzie chce; wszędzie ma zieloności w bród, powietrze cudowne i prześliczne widoki. A jeżeli się stęskni za towarzystwem ludzi, to idzie pod kościół lub do restauracyi, których tu jest dwie, lub do kasyna, i tam znajduje zabawę, gazety i towarzystwo. Ma więc Zakopane wszystkie przyjemności wsi, a zarazem nie pozbawia człowieka towarzyskiego życia. Idzie tylko o to, aby górale nie utrudniali tam pobytu gościom, ale owszem ułatwiali i czynili wygodniejszym. Miałem zamiar pogadać o tem kiedy obszerniej z Jędrkiem; ale zachowałem sobie to aż do czasu naszej wycieczki w góry; miałem w tem swój plan. Tymczasem o wycieczce ani można było myśleć jeszcze. Deszcz lał ciągle, szaruga i chlapanina była nieznośna. W sobotę wrócił Stach z bani, ale sam. Na zapytanie nasze, gdzie podział staro Bartłomieja, spojrzął na nas zdziwiony i odrzekł, że Bartłomiej nie był z nim wcale w bani, że zaraz z karczmy, gdzie się byli schronili przed burzą, pożegnał go, mówiąc, że wróci do domu, bo się czuje niezdrów.

— I nie był odtąd w domu? — spytał Stach.

— Nie był wcale — odrzekła Tereska.

— Może gdzie w drodze zachorował starowina? — rzekłem zaniepokojony.

Jędrzek potrząsnął na to głową z niedowierzaniem.

— Toby go był kto widział — rzekł. — To nie to. Ja już się domyślam, gdzie tatuś poszli.

— No, gdzież?

— Za pieniądźmi. Rano tego dnia, kiedy miał iść do bani, opowiadał mi, że mu się śniło, iż w Kościeliskach widział nad zbójceją jamą duży ogień, jakby się pieniądze paliły. Tatuś mówił mi wtedy, że to dobry sen, że to znak, aby tam szukał; a jemu właśnie nigdy jeszcze nie padło na myśl szukać tam pieniędzy. Pewnie tam poszedł.

— I nie znajdzie — rzekł Stach — a w bani byłby zarobił z parę papierków. Ot, ja zarobiłem z pomocą boską tyle.

I pokazał dwa guldeny i coś drobnych.

— To lepsze, niż wasze zakłete pieniądze, bo djabeł nie ma nic do nich.

— Masz słusznie Stachu — rzekłem klepiąc go po ramieniu.

Podobał mi się bardzo rozsądek tego młodego górala i pracowitość jego. A był przytem sympatyczny, a nawet bardzo przystojny. Dowiedziałem się potem od Jędrka, że to był sierota, że ojca jego lawina przysypała pod Ornakiem. Była to jedyna lawina, jaka od niepamiętnych czasów spadła w tych górach. Zniszczyła ona część lasu i zasypała ludzi pracujących w kopalniach rudy. Ojciec Jędrka był także między nimi. Sierotkę wzięła

jedna bogata gaździna na wychowanie. Rósł chłopak razem z jej córką Hanką i dwoje tych dzieci bardzo się lubiło. Ale po śmierci męża — mówił mi dalej Jędrak — gaździnę podkuśliło лихо i poszła drugi raz za mąż za młodego parobka, któremu się zachciało być bogatym i upaść się na wdowim chlebie. Rodzina jednak zmarłego gazdy nie pozwoliła pokrzywdzić córki i prawowała się o grunt dla niej. Proces trwał lat kilka. Nowy gazda sprzedawał co mógł, wyciągał ostatni grosz z domu i płacił a płacił w mieście, byle proces wygrać. Obiecywali mu, że wygra. Poszło pono aż do samego cesarza, i ostatecznie przegrał. To go tak zmarkociło, że wróciwszy z miasta do domu, ze złości zdusił babę w łóżku.

— Żonę swoją?

— Tak, bo był zły, że pieniądze potracił i napróżno przyzenił się do stariej baby.

— I dawno się to stało?

— A będzie kilka lat temu. Widziałem na własne oczy babę wiszącą na brzoźce tam nad rzeką.

— A kiedy mówiłeś, że ją w łóżku zdusił.

— Tak było. Ale potem strach wziął go wielki, żeby się to nie wydało; więc wyniósł babę na pole, zadzierzgnął jej sznurek koło szyi, zawiesił na brzoźce nad rzeką i uciekł do chałupy. A nad ranem chodził od chaty do chaty pytać, czy jego żony nie widziano. Potrwożyły się kумы i poszły z nim szukać. Idą nad rzekę, a tu na cienkiej brzoźce wisi trup. Brzoźka pod ciężarem się zgięła, i trup uklęknął na ziemi. Szymon począł biadać i lamentować, zesłi się ludzie ze wsi i zrobił się rozruch. Wtedy starzy poczęli coś kiwać głowami i podejrzliwie patrzeć na Szymona, bo im się to dziwnem wydawało, jak mogła nieboszcza zdusić się przez powieszenie, kiedy nogami do ziemi dostała. Choćby chciała, toby nie mogła była się w ten sposób powiesić. Chwycili więc Szymka na pytki i bili go dotąd, aż się przyznał. Wtedy przywiązali go do drzewa i dali znać do sądu. Parę dni tak leżał, zanim sędziowie przyjechali z miasta i zabrali go z rąk ludu, który mu wymyślał i bił go nielitościwie.

Skorzystałem z tego opowiadania Jędrka i przedstawiłem mu zgubne skutki upędzania się za majątkiem.

— Bez tój żądzy nagłego zbogacenia się — mówiłem mu — Szymon mógłby być porządnym i pracowitym gospodarzem; ale zachciało mu się przyjść tanim kosztem do majątku, i to go zaprowadziło na szubienicę.

Jędrak zrozumiał skrytą intencję moją, bo rzekł:

— Rozumiem ją dobrze, do czego wy prowadzicie. Ale to inna rzecz my, a inna Szymek. On chciał się zbogacić krzywdą ludzką i nie miał Boga w sercu. My nie tacy. I gdyby nam Pan Jezus dał przyjść do majątku, to przez to anibyśmy dumniejsi nie byli, ani wstydzili się pracy.

— Więc przyrzekasz mi, że będziesz pracował?

— Będę. Jak mi Pana Boga przy śmierci potrzeba.

— Tego zapewnienia chciałem od ciebie. Teraz mam nadzieję, że znajdziemy skarby.

— Żebo ino słonko osuszyło trochę ziemię, to pójdziemy w góry. Dobrze?

Na słonko jednak trzeba było jeszcze przeszło tydzień czekać. Przez ten czas Bartłomiej nie pokazał się całkiem w chacie. Byłem zaniepokojony o niego. Jędrak jednak nie podzielał mojej obawy. Był pewny że się staremu nic złego stać nie mogło, że może w którym szalasię schronił się przed deszczem i siedzi, czekając pogody. Nie myślał wcale szukać go, ani się bardzo kłopotał o niego. Pod tym względem górale pokazują dziwną obojętność i nieczułość. Miłość rodziców wypływa u nich więcej z religijnego obowiązku, niż z uczucia, a chorobę i śmierć rodziców znoszą bardzo chłodno. Dzieje się to poczęści z tego powodu, że górale śmierć nie uważają za nic strasznego. Życie ich tak mizerne, że się do niego nie przywiązują wiele, a religia obiecuje im za grobem tyle roskoszy, że śmierć jest dla nich nawet pożądaną. To też żadnemu góralowi, gdy zachoruje, nie wpadnie na myśl radzić się doktora, posyłać do apteki po lekarstwo. Nie są nawet ciekawi wiedzieć, na jaką chorobę kto umiera. „Miał chorość i umarł” — to im wystarcza, nie pytają o więcej. Byle nie umarł bez świętych sakramentów. O resztę mniejsza. Takie zapatrywanie się na śmierć i życie ludzkie tłumaczyło w moich oczach poczęści obojętność Jędrka na los ojca, co inaczej byłoby mnie bardzo zgorszyło.

Wśród tego czasu zaszła okoliczność, która bardzo zainteresowała mieszkańców Chran-czówki, i mnie niepomąłu ucieszyła. Stach, mój ulubieniec, żenił się z Hanką, córką owęj tak strasznie przez swego męża zamordowanej kobiety. Że dwoje młodych kocha się i że- ni, nic w tem nie byłoby dziwnego, zwłaszcza, że Hanka i Stach chowali się razem i znali oddawna. Ale trzeba wiedzieć, że Hanka po nagłej śmierci swęj matki popadła była w po- nury smutek, rodzaj melancholii, która zamieniła się w żarliwą dewocję. Po całych dniach modliła się tylko, chodziła po odpustach, a w końcu zapisała się do Sidzinek czy Sudzinek. Była to sekta nabożnisiów nazywana tak od wsi, w której mieszkał ksiądz, co utworzył tę sektę. Powód, jaki go skłonił do tego, nie był zapewne zły; chciał on podnieść moral- ność w ludzie, a nawet w księżach, których widział żyjących nie podług przepisów religii. Wnet zyskał dużo wyznawców, szczególnie między kobietami, i wybudował ze składek kościół w Chochołowie. Umarł jednak przed jego ukończeniem, a sekta Sidzińska pod kierunkiem fanatyków ciemnych skrzywiła zupełnie pierwotną myśl założyciela. Czcze formy, przesadne nabożeństwo, wiara w cuda i zjawiska nadprzyrodzone, przewróciły jęj wyznawcom głowy i doprowadziły do tak potwornego czynu, jakim były zamach Banasia w Tarnowie na księdza i Matkę Boską. Wiadomość o tych strzałach tarnowskich doszła właśnie w tym czasie do Zakopanego, a że Hanka znaną była powszechnie jako Sidzinka, więc ludzie poczęli ją publicznie wyśmiewać teraz, a nawet posuwali się do grózb i prze- kleństw, oburzeni czynem Banasia. I gdy jednę niedzielę Hanka szła do kościoła na sumę, kilku parobków zastąpiło jęj drogę i zabronili jęj wejść do kościoła, mówiąc, że ludzie, co strzelają do Pana Boga, nie mogą się modlić do niego. A gdy Hanka mimo to chciała iść naprzekór im do kościoła, gwałtem ją odepchnęli. Wtedy jeden parobek ośmielił się stanąć w jęj obronie. Odepchnął napastników, grożąc pięścią każdemu, ktoby się dotknął Hanki.

— A wam kto pozwolił występować w obronie Pana Boga — rzekł — jest od tego ksiądz. Wy nie macie prawa zabraniać biednej sierocie modlić się. Pan Bóg największym zbrodniarzom tego nie zabrania. Za głupiego Banasia ona nie odpowiada, ani nie winna temu, co się tam stało.

Słowa te powiedziane głosem śmiałym i odważnym poskromiły napastników, cofnęli się, zostawiając wolne przejście do kościoła. Może być, że ich mówiący przekonał, a może też zrobili to z obawy przed jego podniesioną pięścią i toporkiem. Stach bowiem znany był jako siłacz. On to ujął się za sierotą Hanką, co ją tem więcej zdziwiło, że Stach mógł mieć słuszny żal do nięj. Po śmierci bowiem matki swojej, a bardziej jeszcze od czasu, w którym przystała do sekty Sidzińskiej, nietylko odsunęła go od chaty, ale nawet nie chciała się z nim widywać, choć wiedziała, że Stach bardzo miał się ku nięj. Robiła to przez zbytę pobożności. To też teraz, gdy zobaczyła, że on właśnie ujął się za nią, zdziwiła się mocno. Takie głębokie przywiązanie rozczuliło ją, rozplakała się i podała rękę Stachowi na zgodę. On wziął ją za rękę i *zaprowadził do kościoła*. Po sumie znowu zbliżył się do nięj i odprowadził ją do domu, by jęj ktoś w drodze nie zrobił krzywdy. Idąc z nią, nie robił jęj żadnych wyrzutów, nie prosił o nic, i doprowadziwszy do drzwi domu, odszedł, nie czekając nawet na pożegnanie. Taki szlachetny postępek, a z drugiej strony niecna sprawa Banasia, opamiętały trochę Hankę w jęj zbytnej gorliwości religijnej. Reszty dokonał ksiądz, do którego na drugi dzień poszła do spowiedzi. Ten roztrząsnął jęj sumienie i dał zbawienne rady. Hanka wróciła do domu całkiem odmieniona, a wieczorem odwiedziła Tereskę, u której już od paru lat niebyła, i dała jęj do zrozumienia, że Stach, jeżeli ma do nięj serce i szczerą intencję, może przyjść z gorzałką do jęj chaty, to znaczy starać się o nią. Tak się też stało — i w niedzielę najbliższą miały być zapowiedzi.

O tem wszystkiem dowiedziałem się z ust Tereski i Hanki. Gdy bowiem nad wie- czorem wracałem do domu z karczmy, gdzie pokupowałem niektóre rzeczy na jutrzejszą wycieczkę w Kościeliska, spotkałem obie kobiety klęczące pod figurą niedaleko miej- sca, w którym znaleziono przed laty zwłoki nieszczęśliwej matki Hanki. — Stałem za niemi czas jakiś, i potem razem wróciliśmy do domu — i wtedy to opowiedziały mi to wszystko, co powyżej napisałem. A była to sobota. Na drugi dzień miały wyjść pierwsze zapowiedzi Hanki i Stacha. Jakby na błogosławieństwo młodej parze, w wilię niebo się wypogodziło, chmury rozstąpiły się i pochowały wśród lasów, a z pomiędzy nich jakby z morza wystąpiły wszystkie szczyty.

W niedzielę już na dobre się wypogodziło, dzień był prześliczny. Przez drżące listki brzoź, co stały koło domu, przeciskały się całe snopy złotych promieni i kładły się na zielonej trawie. Za brzoźkami widać było z szumem płynące Dunajcowe wody. Dalej świerkowe lasy, za lasami niebieskawa mgła, za którą podnosiły się wspaniałe góry oświecone rannem słońcem. Szczególniej Gewont, jakby czoło gór, wystąpił naprzód. W powietrzu była cisza i uroczysta powaga, czuć było w niem niedzielę. Zdawało się, jakby i natura w tym dniu świąteczniej się przystroić, jak dziewczyna do kościoła. — Tereska stroiła się także w haftowane chustki i perkalikowe mocno wykrochmalone spódniczki, a my z Jędrkiem gotowaliśmy się do wyjazdu w Kościeliska. Chciałem bowiem korzystać z pięknego dnia. O ósmej wózek już stał zaprzężony. Wsiadłem. Tereskę także zabrałem, by ją podwieźć do kościoła — i ruszyliśmy w drogę.

Jeszcze nie ujechaliśmy ćwierci mili i byliśmy właśnie pod karczmą, gdy na drodze wiodącej od Kościelisk usłyszeliśmy muzykę, brzęk dzwonek i wesole śpiewy, a ludzie stojący przed karczmą poczęli wołać: juchasy jadą z Pysznój. Niebawem zobaczyłem na drodze stada owiec, kilka krów z dzwonekami u szyi i konie obładowane cebrzyczkami, skopkami i innym sprzętem, a około tego szli juchasy w czarnych koszulach świecących jak atlas, wywijając toporkami i przyśpiewując. Jeden z nich rzempolił na skrzypcach. Z tyłu szedł wózek wyładowany także sprzętami pozbieranymi z szałasów. Cały ten zastęp wracał już na zimowe leże do Kolbuszowej. Zdziwiłem się, dlaczego tak wcześniej opuszczali góry. Wytłumaczyli mi, że to już wielka pora, bo trawa w górach już niepożywna dla owiec po Matce Boskiej Zielnej, a przytem z powodu chłodnego lata bali się śniegu wczesnego i dlatego spieszyli do domu. Przed karczmą cały tabor się zatrzymał. Ksiądz, który właśnie wracał od chorego, zgorzony był tą wrzawą w dzień świąteczny blisko kościoła, i dlatego odezwał się do gromady:

— Pamiętaj, abyś dzień święty święcił.

— To też my go będziemy święcić, jegomościnku — odrzekli, kłaniając się księdzu do kolan — i pospieszyliśmy, żeby zdążyć na nabożeństwo.

I rzeczywiście zostali, i dopiero po sumie ruszyli w drogę. Ja zaś z Jędrkiem podążyłem do Kościelisk.

IV. KOŚCIELISKA I MORSKIE OKO

Kto chce widzieć najpowabniejszą część Tatrów, temu wystarczy zobaczyć Kościeliska. Natura tutaj zrobiła jakby wystawę swoich piękności, którą bez trudu obejrzeć można. W dolinie Pięciu Stawów i przy Morskiem Oku okolica jest ponura, dzika, groźna, a przystęp do niej trudny i męczący. Tutaj uśmiechnięta, powabna, wesoła i przystępna. Tam podziwiamy siłę — tu zachwycamy się urokami. Wyobraźcie sobie, że góra pękła i rozpadła się w wąwóz czarowny, w fantastyczne skały naśladowujące zwierzęta, zamki, wieże, kazalnice i stoły; ubierzcie każdy załom skały, każdą szczelinę w mchy wilgotne, w pachnące gwoździki, w świerki spinające się jedne nad drugie; wystawcie sobie spodem takiego wąwozu płynący po kolorowych granitach, szumiący, przejrzysty jak kryształ potok — a będziecie mieli Kościeliska. — Ściany tego wysokiego wąwozu, świecące tu i owdzie srebrnym łyszczkiem, mogły bujnej wyobraźni podszepnąć rzeczywiście myśl o skarbach zaklętych w tych górach. Jędrzek nie był także wolny od tego złudzenia, i z trudem mógłem mu wytłumaczyć, że tak nie jest.

Wjazd do wąwozu kościeliskiego jest niemniej powabny. Wózek minąwszy naturalną bramę, utworzoną przez zbliżone ściany góry, jedzie jakby po dywanie przez kościeliską polanę, ożywioną licznymi szałasami, otoczoną lasami, które amfiteatralnie wznoszą się naokoło.

Zanim wejdziemy w sam wąwóz, muszę zwrócić uwagę waszą na dwie osobliwości.

Jedną jest popielata skała, stojąca u samego wjazdu do doliny kościeliskiej. Składa się ona cała jakby z kamiennych ziarenek jęczmienia, i dlatego lud nazywa ją jarcem. Te ziarenka są to w istocie skamieniałe skorupy ślimaczków. Więcej takich skamieniałości spotykamy na drodze do Kościelisk i w okolicy Lidźmierza, co jasno pokazuje, że kiedyś Nowotarska dolina była łożyskiem ogromnego morza, którego bałwany rozbijały się o tatrzańskie granity. Skamieniałości ślimaków są pamiątką z tej epoki.

Drugą osobliwością, która mile uderza podróżnego, jest silna woń fiołków i malin, która szczególnie po deszczu napelnia powietrze. Zapach ten nie pochodzi wcale od kwiatów, ale od kamieni leżących nad rzeką, przykrytych lekką powłoką czerwonego, rdzawego porostu. Porost ten zwilżony wodą wydaje tak cudowną woń.

Tak dla położenia swego, jak łatwego przystępu do kopalń rudy, Kościeliska były najwięcej zamieszkałe i ożywione. Tu według podania był pierwszy kościółek (ząd nazwa Kościeliska), tu kopano za króla Zygmunta rudę złotą i srebrną i tarto ją, jak o tem świadczą dwa kamienie młyńskie leżące w wąwozie, o których legendę powiem wam, gdy do nich dojdziemy; tu były zabudowania gospodarskie i murowane domki, a wreszcie karczma, dziś w ruinie stojąca. Obecnie goście zamiast do karczmy, podjeżdżają do obfitego źródła otoczonego darniowemi kanapkami, i posiliwszy się, ruszają ztamtąd na zwiedzania wąwozu, a nawet wychodzą na szczyt Pysznej.

Myśmy tak samo zrobili. Po małej przekąsce Jędrzek puścił konia na trawę, a sam wzięwszy zawiniątko, poszedł przodem w wąwóz, opowiadając mi o nim, co sam wiedział. Gdyśmy doszli do skały Sowy, zatrzymał się i odwrócił ku mnie.

— O! patrzcie — rzekł, wskazując na stromą ścianę wąwozu — widzicie u góry ten otwór szeroki; to jama zbójcka. Głęboko ona wykuta w skale i ma kręte chodniki. Tam kryli się zbójniki przed żandarmami, a w potrzebie to po świerkach, co rosną na ścianach wąwozu, umieli się spuszczać na dół jak po drabinie.

— Czy to tu twój tatuś poszli?

— A kto go wie? Może.

To powiedziawszy, włożył dwa palce w usta i świsnął przeraźliwie, donośnie raz i drugi, a potem przestał i czas jakiś nasłuchiwał.

— Nie ma go — rzekł — boby się był odezwał.

Naraz gdzieś za górą odezwał się podobny gwizd i echo powtórzyło go razy kilka.

— To tatuś? — spytałem.

— Kto wie? Może i on. Będzie albo przy Pisaněj, albo w Krakowie, bo ztamtąd głoś leciał.

— Jakto w Krakowie?

— A to panowie tak nazwali jedną paryę, że niby przypomina wasze miasto. Jest tam i brama floryańska, i ulica i rynek, tylko nie tak ładne jak u was. Zobaczycie sami, to się przekonacie.

Rzeczywiście w pół godziny stanęliśmy w onej paryi. Jestto rozpadlina w skale pełna chłodu i wilgoci, a ciągnąca się daleko w głąb góry. Żywěj trzeba było imaginacyi, żeby w tym ponurym wąwozie dopatrzyć podobieństwa do Krakowa. Chętnie wróciłem ztamtąd na słońce i podążyłem do Pisaněj. Jestto wapienna skała, na której podróżni wyrzynają swoje nazwiska ku wiecznej pamięci, a że skała nieduża, więc jaki taki, by siebie umieścić, zaciera ślady swych poprzedników. Coś podobnego dzieje się w życiu. Jeden spycha drugiego, by sam zajął jego miejsce.

Obok skały Pisaněj wypływa potok, który niektórzy zowią źródłem Czarnego Dunajca. Inni przeczą temu. Koło otworu, z którego wypływa potok, ujrzeliśmy starego Bartłomieja; był zbiedzony i zabrudzony. Worek z narzędziami leżał koło nóg jego.

— A wy tu co robicie?

Uśmiechnął się jałowo i rzekł:

— Ot, włóczę się po górach, jak i wy.

— Przez tyle dni?

— Byłem u bacy pyszniańskiego w odwiedzinie.

— Ależ z Pyszny już spędzono owce.

— To też i ja wracam do domu.

Widocznie stary kręcił, wstydząc się przyznać, za czem laził właściwie po górach. Nie chciałem go męczyć pytaniami, na które nie miał odpowiedzi, i poszedłem ku Pysznej.

Tymczasem Jędrzek zbliżył się do niego i coś mu żywo opowiadał. Domyśliłem się, o czem mówili. Jędrzek opowiadał mu zapewne o mojej obietnicy wyszukania skarbów.

Starego wiadomość ta ożywiła, wstał i zbliżył się do mnie.

— Czy to prawda, panie, co mówił Jędrzek?

— A co takiego?

— Że wy obiecaliście mu odszukać skarby w naszych górach?

— Tak, obiecałem.

— Tu? w Kościeliskach?

— Jeszcze nie wiem gdzie. Muszę pierw się rozpatrzyć dobrze w waszych stronach.

— Ja wam do tego pomogę, bo tu znam dobrze każdy kamień nieledwie. Chodźcie, poprowadzę was do stariej roboty, gdzie były dawniej kopalnie złota. Po drodze zobaczycie młyńskie kamienie.

— A daleko one ztąd?

— Nie precz. Za ćwierć godziny tam staniemy.

Wypocząwszy trochę przy źródle, ruszyliśmy tam. Na prawo od drogi sterczał krzyż drewniany, wbity w oś kamienia młyńskiego, na nim był wyrżnięty napis: „I nic nad Boga.” Napis ten i krzyż dał z początku Wincenty Pol. Ale gdy krzyż spróchniał, postawiono nowy na tem miejscu, z tym samym napisem. Drugi taki kamień młyński leży nieco niżej nad rzeką. Otóż mówią o tych kamieniach, że je wioził tędy młynarz od rudy za czasów, gdy tu były kopalnie złota, a wioził je nie z potrzeby, jeno że się założył, iż we święto przewiezie je do wsi. Za tę dumę i nieuszanowanie święta Pan Bóg go ukarał, bo w tem miejscu kamień spadł z wozu i zabił go. Mogiła jego znajduje się o kilka kroków od kamienia. Poznać ją można po stosie suchych gałęzi, które każdy przechodzący góral rzuca. Gałęzie te co trzy lata palą, i znowu nowy stos rośnie. Jestto bardzo stary zwyczaj, to rzucanie gałęzi na mogiłę.

Niedaleko za mogiłą młynarza wąwóz właściwy kończy się, ściany się rozszerzają i zamieniają w lesiste wzgórze, a Pyszna występuje na tle nieba w całej okazałości. Zwróciliśmy się na lewo ku smytniańskiemu szałasowi, który był jeszcze zamieszkały. Dwa wielkie, białe, liptowskie psy, jakich górale używają do strzeżenia owiec, wybiegły ku nam i poczęły ujadać, pokazując nam białe zęby i czarne podniebienia. — Za chwilę pojawił się na wzgórkku mały juchasik, odwołał psy i zaprosił nas do szałasu. Trafiliśmy właśnie na robienie serów, które odbywa się w ten sposób, że owcze mleko, zmienione podpuszczką, warzą w dużym kotle zawieszonym na środku szałasu, i gdy twaróg zbiegać się zaczyna i oddziela się od serwatki, baca zanurza w kociół ręce, łowi niemi kawały twarogu, ugniata i potem wkłada w drewniane foremki. Czystą serwatkę zielonawego koloru zlewają do naczyń i wysyłają chorym do Zakopanego, jeszcze ciepłą. Jest to tak zwana żentyca. Resztę zaś serwatki zmieszanej z twarogiem, używają sami jako napój i pożywienie. Przez cały czas pobytu w górach, psy i ludzie innego pożywienia nie mają, chyba, że ktoś ze wsi przyjdzie w odwiedziny i przyniesie jako gościeniec kawałek moskala t. j. placka owsianego. — Mimo tak jednostajnego i mdłego pożywienia, górale nieźle wyglądają, są zdrowi a nawet tyją. Żentyca jest dla nich specyałem, za którym przepadają. — Sery zaś wysyłają na wieś gazdom, których owce pasą. Układają się z nimi wiele od tyłu a tyłu owiec mają im oddać sera; resztę zaś zachowują dla siebie jako wynagrodzenie za pasterstwo. Baca t. j. zwierzchnik juchasów zabiera większą ilość, resztę dzielą juchasy między siebie i sprzedają bądź gościom, bądź na jarmarkach. Dochód z żentycy należy także do nich. Razem niewiele to czyni, a odpowiedzialność za owce niemała i przygód i niewygód dosyć znieść trzeba, mimo to górale chętnie idą juchasić. Na smytniańskiej polanie było ich niewiele. Poznałem ich wszystkich, bo właśnie pod wieczór wracali z gór z owcami, wpędzili je w koszary to jest ogrodzenia i rozpoczął się podój. — Już miesiąc wszedł ponad góry i osrebrzył ściany kościeliskiego wąwozu, kiedy pożegnałem bacę i juchasów. Odprowadzili nas kawałek drogi strzelając na wiwat z pistoletów, które mają dla odstraszenia wilków.

Późno w noc wróciliśmy do domu; zmęczenia jednak nie czułem wielkiego, zdrowe górskie powietrze dodaje sił — toteż na drugi dzień po kilkogodzinnym śnie, byłem już gotów do nowej wycieczki. Miała to być dłuższa wycieczka z dwoma noclegami — a celem jéj Morskie Oko. Trzeba było więc przygotować pożywienie i inne zapasy i dopiero po południu puścić się mogłem w drogę.

Szliśmy piechotą. Droga prowadziła przez kuźnice; zwiedziłem je więc przy tej sposobności, a mianowicie walcownię, gdzie splaszczają żelazo na sztaby, — młot, gdzie bryły żelaza lanego przyklepują w tak zwane gęsi — i piec, z którego właśnie za chwilę miano wypuszczać roztopiony metal. — Zatrzymałem się na to widowisko. Robotnicy osmołeni, w drewnianych pantoflach krzatali się koło pieca, inni czyścili kanaliki, w które miał być spuszczone roztopiony metal. — Dzwonek dał znak — poczęto odbijać dziurę

w piecu — i za chwilę ciężki, rozpalony do białości strumień wypłynął z pieca i rozlał się jak wąż po kanalikach sycząc i pryskając iskrami. Gorąco zrobiło się w hucie ogromne i dlatego spieszenie opuściłem kuźnicę, zwłaszcza, że czekała nas jeszcze duża droga przed noclegiem. Z powodu pośpiechu nie zboczyłem także na polanę Kalatówki dla zobaczenia źródeł Białego Dunajca, ale zaraz od karczmy poszliśmy w górę na Królową i po parogodzinnej drodze dostaliśmy się do miejsca, z kąd ujrzelśmy szalasy „Gąsienicowe”, za nimi ciemne zwierciadło stawu otoczone wspaniałymi, poszarpanymi w fantastyczne kształty górami. To był na dzisiaj kres naszej podróży, koło stawu mieliśmy zanoć. Zdawało mi się, że to nie tak daleko; ale potem przekonałem się, jak złudne są odległości w górach, gdy do miejsca, które zdawało mi się odległe zaledwie na ćwierć mili, szliśmy półtorej godziny z okładem utykając po kamieniach i poślizgując się po trawie zwilżonej już wieczorną rosą. Dobrze już po dziewiątej stanęliśmy na miejscu. — Jędrzek naciął kosodrzewiny, nabierał suchych gałęzi i naniecił duży ogień, którego blask długim, złocistym pasem odbił się w przezroczystym stawie. Niezadługo zza Koszystej pokazał się księżyc i oblał okolicę magicznym światłem. — Prześliczna to była noc, tylko chłodna trochę. Na szczęście miałem ciepły szal, którym owinąwszy się usnąłem, — sen był potrzebny, bo na drugi dzień czekało nas trudne przejście przez Zawrat. Pochyłość bowiem tego przejścia jest bardzo stroma, a cały bok góry zasypany jest drobnymi kawałkami granitu, niby cukru porąbanego, który usuwa się ciągle z pod nóg, że nie można na nim pewnie stanąć. W niektórych miejscach płachty zmarzłego śniegu przecinają drogę. Przewodnicy wtedy robią toporkami karby, po których jak po schodkach wchodzi się w górę. — Droga na Zawrat prowadzi około tak zwanego Zamarzłego. Jest to jezioro małe, po brzegach grubą skorupą lodu okryte i z tąd jego nazwa. Lód ten przez całe lato nie ginie. Groźno, cicho i martwo tutaj. Skały żółtawym mchem porosłe wznoszą się, niby ławy w amfiteatrze, na których tu i owdzie bieleją płachty śniegu. Zresztą żadnej roślinności nie ma w tej granitowej pustyni, żadnego ptaka ani stworzenia. Siedzieliśmy tam czas jakiś, gotując się do przejścia przez Zawrat, gdy naraz dał się słyszeć szelest spadających kamieni. Jędrzek zwrócił się śpiesznie w stronę z kąd łoskot dochodził, przyłożył rękę do czoła i rzekł do mnie:

— Patrzcie panoczku! — Tu pokazał palcem na górę.

Spojrzałem, ale mimo natężenia wzroku nic nie zobaczyłem.

— Co to ma być?

— Kozica.

— Gdzie?

— Tam, tam, o! pod tym wirchem. Widzicie?

— Nic nie widzę.

— O! teraz na śnieg się dostała. Jak śmiga. Ej, gdyby to strzelba była.

Teraz dopiero dojrzałem w niezmiernej wysokości na białym tle śniegu coś ciemnego, posuwającego się w górę. Była to dzika kozica. Bieg jej musiał być szybki, gdy w takiej odległości był widoczny. Z zajęciem przypatrywałem się temu pięknemu zjawisku. Widok stworzenia na takich niedostępnych wysokościach i w takiej skalistej pustyni, wielkie robi wrażenie. — Od Jędrka dowiedziałem się, że okolice te są ulubionym miejscem ich pobytu. Przebywają w niedostępnych turniach, trzymając się zawsze szczytów gór. Polowanie na nie jest nadzwyczaj trudne. Mimo to, odważni górale dużo ich nabili. Była obawa, że je zupełnie wytepią. Postarano się więc o zakaz strzelania kozic, a strażnikami porobiono właśnie najzagorzalszych strzelców i prześladowców kozic. To skutkowało. Liczba kozic się pomnożyła, a ci, co na nie dawniej polowali, są teraz najlepszymi przewodnikami, bo znają wszystkie przejścia w górach. Takimi przewodnikami są dziś: Sieczka, Wąla, Tatar i inni.

Gdy kozica znikła nam z oczów zupełnie, ruszyliśmy w drogę i za dobre półtorej godziny stanęliśmy na szczycie Zawratu, z kąd szeroki otworzył się nam widok na nagą i dziką okolicę pięciu stawów, co jak ogromne zwierciadła leżą w poważnej oprawie popielatych głazów, a czubaty wierzch Krywania, niby głowa cukru, okazuje się oczom.

Z Zawratu spuściliśmy się na dół. Tu droga była trochę przykra, bo trzeba było skakać ciągle po kamieniach. Szczęściem, że kamienie te są pokryte żółtym mchem, który powierchnię ich robi chropowatą i można posuwać się bez obawy poślizgnięcia lub upadku. Tak okrążyliśmy jeden staw, którego objętość mierzona nogami pokazała się kilkakrotnie

większa, niż się oczom zdawało. — Staw ten oświecony słońcem, wyglądał jak roztopiony szafir i szmaragd, bo i zielony i niebieski miał kolor. Lekki wiatr marszczył gładką powierzchnię jego w kryształowe karby, a słońce po tych karbach rzucało złote, migotliwe blaski. Koło szałas *pięciu stawów* nie długośmy się zatrzymali. Jestto najędźniejszy, najposępniejszy szałas w Tatrach, bez zielonej polany, bez drzew i krzaków, schowany wśród nagich głazów. I pasterze tego szałas są więcej ponurzy, dzicy, — zuchwali i mniej gościnni. Mówią nawet, że niektórzy z nich nie dość uczciwie trudnią się rzemiosłem.

Za tym szałasem ciągnie się drugi staw nazywany *wielkim* mający koło 60 morgów powierzchni. Z niego wypływa wodospad Sikława. Nie może on iść w porównanie z zagranicznymi wodospadami, ale w mokre lata jest dość duży, a masa wody rozpryskującej się po kamieniach w białą pianę i pędzącej po nagiej skale w przepaść z szumem i hałasem, sprawia wielkie wrażenie. — Do tego wodospadu dochodzą zwykle osoby, które nie przez Zawrat piechotą, ale na wózkach wybierają się do Morskiego Oka. — Trzeba w takim razie robić duże koło, bo się jedzie z Zakopanego na Poronin, Mur, Bukowinę (wieś), Łysą Polanę do Roztoki. Tu zwykle się wysiada i piechotą wężozem dochodzi się do wodospadu Sikławy, z kąd idąc jeszcze wyżej w górę, przez Świstówkę dostać się można do Morskiego Oka, do którego wózki z pakunkami i jadłem dochodzą dołem, choć z wielkim trudem. — Kiedyś, gdy cesarz czy któryś z arcyksiążąt miał zwiedzać Tatry, właściciele Zakopanego z wielkim trudem i kosztem zrobili drogę do Morskiego Oka, ale od tego czasu deszcze, nawałnice, roztopy wiosenne naniósł łomy kamieni i uczyniły ją prawie nieprzebytą. — Najczęściej wózki zostawia się w Roztoce, a rzeczy i żywność przenoszą przewodnicy do Morskiego Oka. Mało kto jest, coby o Morskiem Oku nie słyszał. Znane ono już było w ten czas, gdy o reszcie Tatrów mało co wiadano, ale znano go niedokładnie i najpotworniejsze mówiono o niem wieści. Mówiono np. że ma podziemną komunikację z morzem Adryatyckim czy też Bałtyckim, że skrzynkę z okrętu rozbitego na tem morzu znaleziono w Morskiem Oku, że w głębinach jego kryją się potworne ryby. Pokazało się później, że wszystko to były bajki i wymysły. Morskie Oko jest na takiej wysokości, że gdyby nawet miało jaką łączność z morzem, to wszystka woda musiałaby wtedy spłynąć z niego do morza, jako będącego znacznie niżej. — Następnie woda tego stawu jest tak zimna, że oprócz pstrągów i łososi, żadna ryba w nimby się utrzymać nie mogła. W ogóle nietylko powieści wszystkie o Morskiem Oku są fałszywe, ale reputacja o jego wielkości i wspaniałości jest przesadną. Zrobiono mu ją wtedy, gdy innych stawów jeszcze nie znano. Dziś wiemy, że staw wielki koło Sikławy jest znacznie większy, bo ma 60 morgów, podczas gdy Morskie Oko wynosi tylko 57 morgów i 534 sążni kwadratowych. Do tego ogromne skały, jakie ten staw otaczają, złudnie pomniejszają jego wielkość. Trzeba dopiero wypłynąć na tratwie na środek, aby nam zaimponował ten obszar wody. Woda ta jest nadzwyczaj czysta — po brzegach na głębokość paru sążni widać dno zasypane różnokolorowymi kamieniami. — W miarę głębokości woda przybiera ciemnoszafirową i zieloną barwę.

Nierównie dziksze i posępniejsze jest otoczenie Czarne Stawu położonego 500 stóp wyżej. — Z Morskiego Oka wypływa rzeka Białka. — Niedaleko téj rzeki stał przed laty szałas, gdzie podróżni mogli się schronić przed deszczem i przenocować. Szałas ten zniszczał. Dziedzic Szaflarski postawił drugi, ale go górale zburzyli, bo grunt, na którym go postawiono, jest w procesie. I dziedzic i gmina roszczą sobie prawo do niego. Zdawałoby się, że tu, gdzie tyle jest ziemi i lasu, ludzie nie mają powodu kłócić się o posiadanie łada kawałeczka; tymczasem między dziedzicami Szaflar i Zakopanego toczą się zacięte i długie procesa o ziemię, o prawo własności.

W braku szałas, musieliśmy noc przepędzić na otwartym polu. Tak przynajmniej zamyślałem zrobić, ale Jędrzek zrobił mi niespodziankę i z pomocą siekierki prędko przyrządził mi mały namiot z cienkich smereków⁷, który przykrył gęsto gałązkami i wysłał mchem. Przed namiotem naniecił ogień, który podtrzymywał do samego rana, by chłodna noc nie dała mi się bardzo w znaki. — Mimo to, było mi tak zimno, że o trzeciej zbudziłem się i dla rozgrzania puściłem się zaraz w drogę. — Koło Łysiej Polany, spotkaliśmy obławę na niedźwiedzia, który pokazał się w tamtych stronach. Niedźwiedź jest rzadkością w Tatrach.

⁷smrek (gw.) — świerk. [przypis autorski]

Z Głodówki, gdzieśmy się zatrzymali dla odpoczynku i zjedli resztę naszych zapasów, pokazywał mi Jędrək węgierskie Tatry, a szczególnie Łomnicę i inne szczyty. Są one znacznie wyższe od tych gór, które stoją na polskiej stronie. Przez tak zwany polski grzebień można przejść od Morskiego Oka na węgierską stronę — na Śpiż. Osoby, które chcą zwiedzić Łomnicę — najwyższą górę w Tatrach, tędy przechodzą do Szmeksu, który leży u stóp Łomnicy i ztamtąd koło wodospadu Kaltbachu albo Kolbachu idą na szczyt. — Spytacie może co jest Szmeks? Nie jest to ani wieś, ani miasto, jest to poprostu osada kąpielowa. Dla źródła wody kwaśnej pobudowano kilkanaście domków w szwajcarskim guście wśród lasu, a ludzie szukający wzmocnienia sił, przybywają tutaj na lato. Oprócz wody mineralnej, leczą się tu także prysznicem, to jest natryskami zimnej wody, kąpielami iglicowymi i ciepłymi. — Małemu więc źródelku mineralnej wody osada zawdzięcza swój byt, a mnóstwo ludzi swoje utrzymanie. Na kilkomiłowej przestrzeni w pobliżu Tatrów jest wiele takich miejsc, zakładów, które powstały w ten sposób. Tak powstała i zabudowała się Szczawnica, Krynica, Żegiestów, Sulin, Bardyów. Tysiące biednych góralskich rodzin znajdują przez to utrzymanie, to wożą gości do tych miejsc, to najmując im mieszkania, nosząc żentycę, wożąc po Dunajcu Pieninami, służąc za przewodników po górach, sprzedając im produkta swoje i t. d. Małe więc te źródelka są źródłem bogactwa; Pan Bóg dał im je jakby dodatek do jałowej ziemi, która skąpy i lichy plon wydaje. — Kąpiele te z każdym rokiem liczniejszych mają gości i skoro tylko dojazd do nich zostanie ułatwionym przez dobre drogi i koleje — podniosą się jeszcze więcej. — Taki los spotka najwcześniej Krynicę i Żegiestów, do których właśnie budują kolej. Pójdzie ona z Tarnowa do Leluchowa na Węgry, przez co ziemie leżące koło niej podniosą się w cenie, a mieszkańcy już dziś mają niemały z tego powodu zarobek przy budowie.

Opowiadałem Jędrəkowi o tem wszystkim i rzekłem w końcu:

— Widzisz, Ci ludzie, którzy odkryli źródła, ich cudowne działanie na zdrowie ludzkie i pobudowali domy dla gości — znaleźli także skarby zakłete w ziemi. Czyż nie tak?

— No tak, — rzekł, skrobiąc się po głowie — ale co złoto, to nie woda.

— Z tej wody zrobią oni złoto. Ze wszystkiego można je robić, kto umie. Dawniej ludzie sobie głowy smażyli nad wynalezieniem sposobu robienia złota, dziś wiedzą, że można je robić ze wszystkiego: z łachmanów, które wyrzucamy na śmietniki, z nieczystości ludzkich i zwierzęcych, słowem ze wszystkiego.

Uważałem, że Jędręka zastanowiły te słowa i rozmyślał nad niemi. Gdyśmy odpoczęli, zaproponował mi, czybym nie chciał zboczyć i zobaczyć kuźnice Jaworzyny, które są o wiele większe od zakopańskich i lepiej utrzymane.

— Zobaczycie panoczku — rzekł śmiejąc się — jak tam z żelaza robią złoto.

— A widzisz, pojąłeś mnie — i z tego można mieć złoto. Wasi dziedzice zakopańscy dosyć go narobili sobie z tego materiału. — No, w której stronie ta Jaworzynka.

— Chodźcie za mną.

Ruszyłem tem chętniej, że w Jaworzynce miałem nadzieję wynajęcia wózka i koni, któreby nas zawiozły do domu; mieliśmy bowiem jeszcze przeszło trzy mile przed sobą. — Tak się też stało i po obejrzeniu Kuźnic Jaworzyńskich, ruszyliśmy do Zakopanego.

V. POSZUKIWANIE ZŁOTA W GÓRACH

Na drodze koło młyna, spotkaliśmy starego Bartłomieja, który jak się pokazało, wyszedł naprzeciw nam i niecierpliwie nas oczekiwał. Skoro nas zobaczył, zbliżył się prędko i patrząc na nas badawczo, ciekawie, spytał tajemniczym głosem:

— A co?

— O co pytacie? — spytałem.

— Znaleźliście co?

— A cóż mieliśmy znaleźć?

Zapomniałem bowiem zupełnie o przyrzeczeniu danem staremu, że będę szukał złota; a on był tymczasem przekonany, że my tylko dlatego wyruszyliśmy z domu i dlatego oczekiwaliśmy tak niecierpliwie. — Na zapytanie moje, nie wiedział jak odpowiedzieć, bo bał się zdradzić tajemnicę przed górale, który nas wiozł. Dał mi tylko znak porozumienia oczami i dodał:

— No to, co wiecie.

— A — rzekłem przypomniawszy sobie, o co idzie — znaleźliśmy — ale nie wiele. Więcej pokażę wam tu.

— Jakto? tu w Zakopanem?

— Tak.

Oczy starego zaiskrzyły się z radości.

— Więc tuby miało być ono. To mi nigdy na myśl nie przyszło. A być bardzo może — mówił dalej zamyślając się. Szukaliśmy daleko, a nie baczyliśmy na to, że może być blisko. Tylko jeżeli nas już kto uprzedził?

— O ile wiem, to nie. Przynajmniej bardzo mało.

— Ale już ktoś wie o tem? — spytał przestraszony.

— Być może. Tylko nie umieją wziąć się do tego.

— To trzebaby nam się pospieszyć.

— Dobrzeby było.

— Więc może jutro zaraz nam to pokażecie? Co?

— Zgoda.

Przez cały ten dzień stary był niespokojny, nie mógł usiedzieć na miejscu, wałęsał się koło domu, nie wiedząc jak czas zabić, czasami zaglądał w moje okno, jakby się chciał przekonać, czy nie zniknąłem, jak kamfora. Oczekiwanie zaklętych pieniędzy, które mu jutro miałem pokazać, zajęło całą jego uwagę, nie mógł nic robić, o niczem innem myśleć. Na drugi dzień ledwie świt, słyszałem go podchodzącego kilka razy pod moje drzwi. — Zachowałem się umyślnie cicho, aby myślał, że śpię. Ten długi sen niepokoił go i niecierpliwił. Począł kaszleć i chrząkać. Nie chciałem już dłużej męczyć starego i wstałem. Wszedł zaraz do izby, by mi posłużyć. Obchodził się ze mną, jak z rzeczą bardzo kosztowną i był prawie nadskakujący. Sam wyczyścił mi suknie, przyniósł śniadanie i nawet ubrać się pomagał.

— No, ja już gotów — rzekłem po wypiciu śniadania.

Góral drgnął z radości na to odezwanie się moje i silny rumieniec wystąpił mu na żółtą, pomarszczoną twarz.

— To chodźmy — rzekł stłumionym głosem.

— A gdzie Jędrzek?

— Czy i on potrzebny?

— I bardzo.

Staremu to się nie podobało. Chciwość złota już poczęła działać i złe skutki wydawać, stary Bartłomiej już własnemu zazdrościł synowi i nie rad był, że będzie musiał z nim dzielić się tajemniczymi skarbami. — Czyż w świecie nie tak się dzieje? Im kto więcej ma, tem chciwszy i skąpszy się staje. Największa część jałmużny pochodzi z rąk ludzi niezamożnych.

Rad nie rad Bartłomiej, musiał zawołać syna i we trzech ruszyliśmy z domu. Bartłomieja zdziwiło, że zamiast iść do lasu lub w odludne miejsca, prowadziłem ich prosto ku kościołowi.

— Jakto, to tam? — spytał z niedowierzaniem.

— Tak.

— Ależ tam ludzie.

— Właśnie. Gdzie więcej ludzi — tam więcej pieniędzy.

— To możeby lepiej w nocy? — zauważył ostrożny Bartłomiej.

— Dzień najsposobniejszy do szukania i zyskiwania pieniędzy — rzekłem — a potem zwróciwszy się do Jędrka, który w milczeniu siedł obok mnie i wzrokiem pełnym oczekiwania i zdziwienia patrzył na mnie — spytałem go:

— Ty tu podobno w tych stronach masz kawałek gruntu?

— E! plony grunt, licha warty. Uprawiać nawet nie ma co, bo się nieopłaci. Więcej na nim kamieni jak owsa.

— I gdzież ten grunt?

— Niedaleko kościoła, tuż przy drodze, tam, gdzie to źródełko.

— I ciągnie się aż ku rzece?

— Tak — po ten gaik.

— Otóż tu — rzekłem — są zaklęte pieniądze.

Bartłomiej i Jędrzek wytrzeszczyli na mnie zdziwione oczy.

— Tu?

— Tak.

— I jakże się dobrać do nich? — spytał Bartłomiej, przysuwając się do mnie.

— Pracą, skromnością i oszczędnością.

— I nie trzeba będzie ani kilofa, ani siekiery, ani motyki?

— Owszem, wszystkiego tego będzie potrzeba.

— Nie rozumiem. Mówcie jaśniej.

— Widzicie — rzekłem — ten dom po tamtej stronie drogi.

— To dom Krzeptowskiego, co wybudował dla gości.

— I ten dom niesie mu spore zyski. Otóż jeżeli wy dom wasz z za rzeki, gdzie jest nieprzystępno i daleko, przeniesiecie tu lub zbudujecie nowy, będziecie mogli mieć takie same zyski. W taki sposób dobędziecie z tój jałowój i nieurodzajnej ziemi, która wam dotąd nic nie daje cząstkę już tych skarbów, które są w niej zakłete.

— Ej, — a to kpicie z nas i tyle — rzekł z oburzeniem Bartłomiej — to nieuczciwie.

— Obiecałem wam pokazać, gdzie są zakłete pieniądze, które dobyć potrzeba i pokazuję.

— Co mi to za bogactwa, co kapaniną grosz po groszu zbierać trzeba. Bogactwo, to u mnie znaczy dukaty, cwancygiery, choćby kwartami.

— I cóżbyś zrobił z tyloma pieniędzmi?

— Co? wybudowałbym kościół.

— A potem — cobyś zrobił zresztą?

— Cobyś zrobił — cobyś zrobił — ja bym wiedział co zrobić.

Tak mówił, ale widocznie był w kłopotach, bo nie wiedział, coby zrobić.

— Żyłbym sobie dobrze, jak na porządnego gazdę przystoi.

— Czyż przy dochodach z takiego domu nie mógłbyś żyć dobrze? Zresztą dochód z domu, to dopiero cząstka tych zakłetych pieniędzy, które wam dobyć radzę.

— Jeżeli tylko o takich pieniądzach wiecie, to je sobie schowajcie sami dla siebie. Daruję wam je — rzekł Bartłomiej rozdrażniony zawodem, jaki go spotkał. Zabrał się i odszedł. Ale Jędrzek został przy mnie i rzekł:

— Nie gniewajcie się na tatusia i mówcie dalej. Ja widzę, że wy dobrze myślicie. Mnie nieraz przychodziło to do głowy, tylko nie wiedziałem jak się wziąć do tego. Trzebaby na to pieniądze.

— Pieniądze się znajdują. Można będzie zaciągnąć pożyczkę z banku na grunt. Z dochodów domu będziesz spłacał. Gości coraz więcej przyjeżdża tutaj, masz więc pewność, że dom będzie ci dawał stały dochód. Mając parę koników i wózek, będziesz mógł tem także zarabiać od swoich gości wożąc ich to do Krakowa, to do Kościelisk. — Zdałoby ci się także kupić parę osłów. W Krakowie ich teraz dosyć. Za bezcen to dostać można, żywienie nic nie kosztuje, bo się byle chwastem pożywi samo, a dobre to do wycieczek w góry i spory dochód co roku przynieść może. Jeżeli do tego będziesz usłużny dla twych gości, uczciwy a niezbyt chytry — możesz mieć jeszcze różne inne zarobki, to sprzedając im nabiół, jaja, kury i inne rzeczy. Na miejscu zapłacą ci za to lepiej, niż gdybyś miał nosić mil kilka na jarmark.

— To prawda, że goście nie źle płacą.

— Trzebaby tylko mieć lepsze staranie o bydle, co je macie. Krowy wasze zbiedzone, nie mając wygod i czystości, nie dają tyle mleka, wiele daćby mogły. Skąpicie im i oszczędzacie krajczary a tracie przez to reńskie. Tożsamo i owce pasiecie-ta i pasiecie, ale nie staracie się ani poprawiać ich rasę, ani powiększać stada. A to dałoby wam możliwość zaprowadzenia na większe rozmiary fabryki serów. Zresztą, jeżeli myślicie, że pasza u was zaskąpa na to, to należy wziąć się do innych jakich wyrobów, któreby się opłacały, ale wziąć się szczerze. Wy umiecie wszystkiego po trochu, ale nie dobrze. — Nie widziałem u was żadnego przemysłu, któryby szczególnie was zajmował i u was tu kwitnął. Nie brak wam talentu, ale chęci. Widzisz — w Wiedniu ministrowie uradzili, aby taki przemysł, co się pokaże między ludem, wspierano rządowemi pieniędzmi. — Więc tam, gdzie lud wypłatał koszyki, sprowadzono nauczyciela koszykarza z Bawaryi i nauczono chłopców wypłatać śliczne koszyki, za które im dobrze teraz płacą. We wsi znowu, gdzie mieszkańcy trudnili się przeważnie ślusarstwem, kilku zdolniejszych posłano na naukę do warsztatów do Wiednia. W innych wsiach znowu inny przemysł wspierano — u was

nie, boście niepokazali szczególniejszej ochoty do niczego. A moglibyście dużo robić. Ot np. macie kosodrzewinę i inne drzewa, z których za granicą wyrabiają ludzie w górach zgrabne domki, łyżki, grabki, figurki, cygarniczki i mają z nich dochód nie mały. — Dzieci pasące owce lub bydło, zarabiają już pieniądze strząc figurki i zabawki, a u was pastuch cały dzień przeleży lub przelazi i o tem nie pomyśli. Kawalkiem kozika odgrzebałby sobie pieniądze zakłete w lasach i drzewach a nie chce. Widziałem także u was kilka warsztatów tkackich. Warsztaty te jednak służą wam raczej do domowej potrzeby, niż do zarobkowania stałego. — A przecież gdzieindziej warsztaty takie są źródłem zamożności. Przypuściwszy, że wasza okolica nie daje warsztatom dosyć lnu i wełny — toć można ją sprowadzać. Sprowadzacie sobie żyto z Krakowa, kukurydzę z Węgier, sól z Wieliczki — czemużbyście nie mieli także robić zakupna lnu i wełny i przerabiać ją. Rozwinięte warsztaty zjednałyby wam pomoc rządu i otworzyły kredyt w towarzystwach zaliczkowych. Gdzie ziemia skąpo rodzi — tam człowiek musi się brać do przemysłu, a tymczasem wy przestajecie na tym lichym plonie owsa i siana — i nie myślicie o wyszukaniu nowych środków zarobku. Gdyby nie goście, co wam sami zarobek ten pchają w ręce, wynajmując wasze mieszkania i wasze konie i kupując wasz nabiał — marlibyście z głodu na przednówku. Ci goście, to także część bogactwa waszego, którą starannie utrzymywać należy. Tymczasem wy zamiast przynęcić tych gości ulepszeniem waszych mieszkań, urządzeniem im wszelkich wygod, odstręczacie ich jeszcze zbytnią chciwością, ciągnąc z nich, co się da, jak najwięcej. Z mieszkań, które wam pustką stały dawniej, dziś przy napływie gości, sami nie wiecie co żądać, każecie sobie płacić jakby w hotelach miastowych i tak ze wszystkim. A jeżeli goście zrażeni tem, przeniosą się gdzieindziej, to co wtedy z wami się stanie?

— To, to prawda. Już oni łońskiego roku przenosili się po trochu do Poronina.

— A widzisz. A mogą się przenieść jeszcze gdzieindziej np. na węgierską stronę, gdzie i dojazd koleją jest wygodniejszy i z kądem mogą także robić wycieczki w góry i mieć żętycę. Przez zbytnią chciwość możecie się pozbyć wielkiego źródła dochodów. Jeżeli chcecie więcej zarabiać — to więcej róbcie dla nich. Np. ty masz tu rzekę pod bokiem. Wiesz dobrze, że wiele osób nie mogąc lub nie chcąc jeździć do Jaszczurówki, używa rzecznych kąpiel; — ale nie ma tu ani miejsca dogodnego, ani budek, gdzieby się rozebrać wygodnie można. Otóż, gdybyś na swoim gruncie parę takich budek urządził — rzekę pogłębił i dno jej wyrównał do kąpiel, mógłbyś mieć nie mały z tego dochód. Każdy chętnie by dał po kilkanaście centów za budkę, prześcieradło i obsługę. W Krakowie nad Wisłą kilka familij utrzymuje się z takiego zarobku.

— Tobo było dobre — rzekł Jędrzek — mnie już nawet mówiono o tem. Jakies panie z Warszawy kazały mi nawet zrobić dla siebie nad rzeką taki szałas z gałęzi, za co kilka papierków zarobiłem wtedy. Toba trzeba zrobić.

— Żona twoja miała by także nie zły zarobek, gdyby się wyuczyła gotować.

— Ona umie, bo była jakiś czas przy swojej ciotce, co była kucharką u proboszcza.

— Toba także coś uczyniło do roku. Teraz osoby przyjeżdżające, muszą albo przywozić z sobą sprzęty kuchenne i kucharki, albo stołować się w restauracji. Gdyby wasze gospodynie znały się choć trochę na gotowaniu, miały sprzęty kuchenne i umiały prac, prasować, mogłyby mieć lepszy z tego zarobek od gości, niż pasząc bydło lub robiąc w polu. Nawet dzieci twoje za lat parę mogłyby już zarabiać tnąc nożykiem wyklówacze do zębów, za które w mieście dobrze płacą. Widzisz więc, że z każdej rzeczy można mieć pieniądze, a grosz zarobiony pracą, pomnażany oszczędnością, zrobiłby was zamożnymi ludźmi. Z czasem, gdy rząd drogi wam wyrówna, gdy więcej kolei przybędzie, pokażą się w ziemi jeszcze inne ukryte bogactwa. Ot np. teraz zaczęto łupać granit tatrzański, bo się okazał dobrym do budowy. Dużo ludzi z Chochłowa i Poronina znalazło przy tych granitolomach niezły zarobek. Może później więcej takich zakrytych skarbów odkryją ludzie uczeni i przemyślni. Trzeba tylko, żebyście umieli z tego skorzystać i nie lenili się do zarobku tam, gdzie on się wam otworzy.

W ten sposób długo jeszcze rozmawiałem z Jędrkiem, mówiąc mu o różnych sposobach dobytka zaklętych pieniędzy z ziemi, z drzew, z kwiatów tatrzańskich, z wody, z powietrza, z siebie — słowem ze wszystkiego, bo ze wszystkiego człowiek zmyślny a pracowity, pieniądź zrobić może. Słuchał mnie bardzo uważnie i ślubował, że pójdzie za memi radami i za lat kilka będzie z pomocą Bożą zamożnym gazdą. Czy to robi, czas

pokaże. Wiem, że mu nie brak sprytu, talentu a nawet ochoty; ale czy mu nie zabraknie wytrwałości? Jest to cnota, na której nam zbywa. Ręczo i ochotnie porywamy się na razie do wszystkiego, ale wytrwać w tym czas dłuższy, znosić przeciwności, tego nie umiemy. Ktoś to powiedział, że Polakowi łatwiej umrzeć pięknie, jak żyć dobrze i pracowicie. Jest w tem wiele prawdy, i dlatego tak wiele zaklętych skarbów nietkniętych leży około nas i w nas samych.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/zaklete-pieniadze>

Tekst opracowany na podstawie: Michał Bałucki, *Zakłete pieniądze*. Opowiadanie z życia ludu góralskiego przez M. Bałuckiego, Nakładem księgarni i wydawnictwa "Czytelnia ludowej" A. Nowoleckiego, Kraków, 1875.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikizródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Agnieszka Dąbrowska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikizródła.

ISBN 978-83-288-0057-1

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).